

JERZY
AMBROZIEWICZ

SPRAWY

nie czysto chemiczne

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Trudno się dziwić, że blondynka mająca duże, błękitne oczy włożyła dla podkreślenia swej urody niebieski sweter. Jak jej w nim do twarzy — pomyślałem, gdy uprzejmym ruchem wskazała mi krzesło obok siebie. Rozejrzałem się po pokoju. Oprócz wspomnianej koleżanki dokonywały ostatniego przeglądu swych wiadomości cztery inne studentki Wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej: o ile sobie przypominam, żadna z nich nie była blondynką ani nie miała dużych błękitnych oczu, a mimo to wszystkie ubrały tego dnia sweterki o wyraźnie niebieskim kolorze.

Wszystkie były niezwykle miłe i — jak na kobiety przystało — rozmowne. Z ich opowiadań wyniosłem dosyć pełny obraz życia studentów Wydziału Chemii i obawę o wyniki tej sesji, do której moje rozmówczynie tak zawzięcie się przygotowywały.

Nawet jednak najbardziej pesymistyczne przewidywania okazały się różowe. Bo oto na 211 stu-

dentów I roku tylko 73 osoby uniknęły sesji poprawkowej. Z jedną notą niedostateczną przystąpiło do niej 92 pierwszorzeczniaków, a około 30 musiało zrezygnować z dalszej nauki. Na III roku suma tych, którzy nie zdali w pierwszym terminie, urosła do blisko 150. Studentów z dwiema i więcej dwójkami było aż 72 (co według rozporządzenia Ministerstwa odbiera im prawo dalszego pozostawiania na uczelni).

GDZIE CZAS NA RANDKI?

Fakty mówią, że wydział ten znajduje się jedno z ostatnich miejsc w wynikach nauczania Politechniki Warszawskiej. Sytuacja jest zatem dość jednoznaczna, aby w jej ocenie mogły być zasadnicze różnice między profesorami, dziekanatem a studentami. Rozbieżności zaczynają się dopiero wówczas, gdy dziekanat i studenci zaczynają badać przyczyny zła i wyciągać stąd wnioski.

Studenci żalą się, że nie bardzo wiedzą komu przedłożyć wniosek, którego realizacja radykalnie zmieniłaby dotychczasowy stan rzeczy. Chodzi o to, aby przedłużyć dobę o co najmniej 12 godzin. Bo jakże można — mówią — spełniać wszystkie obowiązki studenckie i ludzkie, skoro tylko suma zajęć na uczelni przekracza tygodniowo 50, a u mężczyzn zbliża się do 60 godzin.

Widocznie przy tych słowach musiałem mieć wątpliwą minę, gdyż moi rozmówcy wyciągali pośpiesznie plany wykładów i ćwiczeń i udowadniaли czarno na białym, że tak jest w istocie. Oto tygodniowy rozkład zajęć studenta III roku, Andrzeja Boldoka:

poniedziałek — od 7.30 do 19.00 bez przerwy,
wtorek — od 7.30 do 19.00 z jedną godziną przerwy,
środa — od 9.15 do 12.45 i od 15.00 do 19.00,
czwartek — 7 godzin zajęć,
piątek — od 7.30 do 19.00 bez przerwy,
sobota — od 7.30 do 12.45.

Ogółem ponad 50 godzin. Inne grupy mają jeszcze więcej zajęć — opowiada przewodniczący ZW ZMP

Jerzy Skrzypiński, również student III roku. Jeśli dodamy do tego przygotowywanie się do wykładów, ćwiczeń i kolokwium, domowe rozwiązywanie zadań i przerabianie lektur, na co potrzeba co najmniej dwadzieścia kilka godzin tygodniowo — to otrzymamy około 14 godzin dziennie. Dodajmy czas na jedzenie, dojazdy do uczelni i domu, a na pewno zabraknie go na rozrywkę, książkę, randkę — słowem — te wszystkie sprawy, które człowiekowi studiującemu nie mogą być obce.

Czy w tych warunkach może być mowa o rzetelnej, naprawdę twórczej nauce? Na to pytanie trudno dać odpowiedź pozytywną. Czy można się więc dziwić, że część studentów organizuje sobie czas nie w myśl urzędowego rozkładu dnia, ale według mniej lub bardziej logicznych, jednak realnych norm?

DZIEKANAT — SVOJE

Żle jest gdy taki stan istnieje, a istnieje już od dość dawna. Ale stokrotnie gorzej, że nic się nie robi, aby ten stan rzeczy zmienić. W dziekanacie mówi się o tym z całkowitym spokojem ducha, a na własne rozgrzeszenie ma się jedyny niezawodny sposób — udzielanie urlopów, usuwanie z uczelni i bezradne rozkładanie rąk.

Zresztą przyczyna zła dziekanat widzi bynajmniej nie w przeciętności studentów. Prodziekan Grębski na moje pytania wykazał, że program ustalony w Polanicy przewiduje np. dla III roku tylko 36 godzin zajęć tygodniowo. „To jest oczywista formalność — przyznaje jednak profesor — w rzeczywistości studenci zajęci są na uczelni ponad 40 godzin”.

A tymczasem dziekan Tomasił powiada wprost: „Nie należy wierzyć w nadmierne przeciążenie studentów. 50 godzin zajęć to nonsens, wymysł młodzieży. Studenci zbyt mało się uczą, są mało zdolni i dlatego — takie wyniki”.

W myśl logiki nie zawsze z dwóch zdań wykluczających się nawzajem jedno musi być prawdziwe. W tym wypadku raczej należy przyznać rację studentom.

Aby otrzymać zaliczenie VI semestru studenci obok egzaminów muszą również zaliczyć dwie prace: analizy ilościowej i technicznej oraz preparatyki organicznej. Szczupłość pracowni powoduje jednak, że tylko połowa studentów może od razu zasiąść przy stanowiskach roboczych. A trudność tkwi w tym, że studenci nie mogą zajmować tych stanowisk na zmianę (aby wykonać odpowiednie preparaty itp. każdy okupuje stanowisko wraz z urządzeniem aż do zaliczenia pracowni).

W CZTERY OCZY Z PRAWDĄ

Wobec takiej sytuacji zdecydowano zwiększenie czasu otwarcia pracowni w dwójnasób. Studenci mają więc np. zamiast 12 godzin preparatyki organicznej 24 godziny tygodniowo, aby pracując dwukrotnie dłużej kończyć pracownię dwukrotnie szybciej i dać możliwość wejścia do niej następnej grupie.

Niestety, tak się nie dzieje. Studenci przemęczeni wielogodzinnym śledzeniem nad preparatami nie mogą pracować tak intensywnie, jakby to robili przy normalnym rozłożeniu zajęć. A ponadto zbyt obszerny jest chyba program zadań, skoro bardzo wielu z nich przedłuża swój pobyt poza ustalony okres uniemożliwiając wejście do pracowni następnej grupie.

Tyle fakty. Jednak dziekanat — jak wynika z cytowanych wypowiedzi — nie bardzo orientuje się w całokształcie zajęć młodzieży studiującej na Wydziale Chemii. Dziekan mówi swoje (że to wina studentów), studenci swoje (że nie dają rady) i stąd między dziekanatem a studentami istnieje prawdziwy mur nieporozumień, który bynajmniej nie ułatwia młodzieży studiów a dziekanatowi pracy.

Niestety w MSW nikt nie wie o tej sytuacji i dopiero na interwencję Redakcji obiecano się tym zająć. A przecież za „waskie gardło” wydziału — za ciasnotę w pracowniach, za to, że studenci pracują w warunkach niezgodnych z przepisami BHP — odpowiada przede wszystkim Ministerstwo. Bo gdy w

(Dokończenie na str. 6)

Dla niewtajemniczonych wygląda to jak bańka od mleka. W języku fachowców zwie się kalorymetrem i służy do oznaczania ciepła rozpuszczania i ciepła zobjętniania substancji. Przy aparacie kol. Henryka Jabłońskiego.

Wśród kalifornijskich poszukiwaczy złota zrodziła się legenda o czarodziejskim echu. Powiadali, że przed ułożeniem się do snu zawołać w przestrzeń donośnym głosem „Heej! Czas wstać!”, aby dźwięk odbity przez majaczące na horyzoncie skały powrócił w dziesięć godzin później, wzywając do przebudzenia. Czarodziejskie echo nie wzywalooby zapewne konfrontacji z prawami akustyki, ale nie „mędra oko i szkiełko” stanowi o metaforycznym ziarnie filozoficznej prawdy, zawartej w każdym podaniu. Wspomnijmy, ileż to razy donośny głos minionej epoki powracał po wielu latach i jak często głos ten wzywał do przebudzenia.

Tego rodzaju refleksje, może zbyt abstrakcyjne, budzi dziennik wielkiego humanisty, Romain Rollanda, pisarza, którego umiłowanie człowieka przywiodło do rewolucji. Dziennik swój pisał on przez całe życie. Część rękopisów — „Dziennik z lat wojny” ofiarował Rolland ludzom radzieckim, przesłał do Moskwy i w liście swym z 25 listopada 1934 roku, zaadresowanym do dyrektora Biblioteki im. Lenina określił termin otwarcia zapieczętowanych pakietów na 1 stycznia 1955. Tego też dnia myśli Romain Rollanda, zrodzone w latach pierwszej wojny, wtargnęły w naszą współczesność, nie mogąc nie zadziwić trafnością i w pełni dziś aktualnych sądów.

Oto, co pisze Rolland w roku 1915:

„Jestem przekonany, że zniszczenie niemieckiego imperializmu militarnego jest dziś kategorią konieczności. Tym niemniej jestem przekonany, że niesposób zniszczyć go jedynie siłami sojuszników armii, jeśli nie przyłączy się do nich wola „lepszych Niemców”. Owe „lepsze Niemcy” istnieją i moje pretensje do polityki narodów sojuszników polegają na tym, że nie potrafiły ich destrzeć, dopomóc im i wykorzystać...”

Gdyby dziś żył Romain Rolland — nie mógłby nam uczynić podobnego zarzutu. „Lepsze Niemcy” przybrały kształt widomy pomiędzy Odrą a Łabą, „lepsze Niemcy” istnieją i pomiędzy Łabą a Renem i zdobywają się dziś one na protest przeciwko układowi wojennym. W tych to Niemczech, w prawdziwej

Wzryw głosu

woli narodu upatrujemy siłę zdolną do odrzucenia widma bratobójczej wojny, która stałaby się wojną światową.

Nawet jednak strach przed znieprawioną wojną, strach, który (jak to w swej ostatniej filipice otwarcie sprecyzował Winston Churchill) ma załamać, sparaliżować prostego człowieka — nie jest w stanie ludzi upodlić, odwieść ich od najgłębszych przekonań, wiary w człowieka.

W tym samym roku 1915 zanotował Romain Rolland:

„Tygodnik amerykański „Fair Play” poprosił, aby wziąć udział w ankiecie na temat: „Co spośród tego w co Pan szczególnie wierzyl zburzyła wielka wojna?”

Odpowiedziałem 29 sierpnia: „Wojna nie zburzyła niczego w co wierzyłem. Uczyniła ona jedynie wiarę moją jeszcze silniejszą. Umocniła ona:”

1. Moją nienawiść do klas panujących i do rządów, do oligarchii finansowej, do kościoła i do tak zwanego kwiatu inteligencji — które doprowadziły ludzi do tej absurdałnej rzezi.
2. Moje braterskie uczucia dla wszystkich tych, którzy cierpią, w każdym narodzie.
3. Moją wiarę w ich przyszłe zjednoczenie i w dominację nowego socjalistycznego porządku bardziej sprawiedliwego i bardziej ludzkiego.”

I jeszcze jedną refleksję budzi lektura „Dziennika”. Owi ludzie bez skrępow, którzy — jak to niedawno podała agencja Associated Press — obliczyli, że w przyszłej wojnie zabicie człowieka kosztować będzie jedynie 2 dolary 80 centów, podczas gdy za czasów pierwszej wojny światowej kosztowało aż 1000 dolarów, owi to właśnie ludzie podają się za obrońców „wyższego dobra”, ludzkiego ducha itp. itd.

My zaś, ludzie wynajmający światopogląd prosty, trzeźwy, materialistyczny nie potrafimy tak jak oni

Na wstępie małe zastrzeżenie: nie znam i żadne więzy rodzinne nie łączą mnie z ob. Zarembką, ob. Cieślakiem, ani z którąkolwiek z osób, o których w tym artykule wypadnie mi wspomnieć. Procz tego pochodzę z Woli, mam 1,80 m wzrostu i przez półtora roku trenowałem boks. A teraz, po tym — jak się na pewnym zebraniu okazało — koniecznym wstępie, przechodzę do spraw zasadniczych.

Każda wiadomość rozechodzi się po niewielkim mieście z szybkością pośpiesznego pociągu. Jeżeli zaś jest to wiadomość z posmakami sensacji, czy też „tylko dla zaufanych”, szybkość docierania jej do wszystkich zainteresowanych i niezainteresowanych zbliża się do szybkości odrzutowego samolotu. Nic więc dziwnego, że w Toruniu, siedząc we wzorcowej restauracji „Polonia” lub przechadzając się po uliczkach zamkniętych w tzw. „trójkacie wychowawczym” (nazwa ta pochodzi od wieżochłków trójkąta, którymi są uniwersytet, kościół i więzienie) — można było otrzymać najświeższe wiadomości: „to kryminalna afeta”, „przyjdzie z KC tow. Tepicht”, „zakończono sprzedaż”, „wezwalą go do Warszawy”, „przyjdzie nie Tepicht, a minister Rapacki” itd. itd.

Plotka nabierała szybkości i rozmachu, coraz częściej padały na zwiska działaczy państwowych i partyjnych, coraz większe zainteresowanie wzbudzało zebranie — na którym miała „pęknąć bomba”, — a sprawca „kryminalnej afety” odpowiednio potraktowany, odsadzony od czci i wiary, zostanie potępiony raz na zawsze.

Aula z małymi balkonikami po bokach była szczelnie zapelniona, a zaferowany wozy znośli z sąsiednich sal krzesła dla spóźnialskich. Siedzący obok student polonistki cmołak z zachwyty — cie, cie, cie, patrzcie, no patrzcie — kto by się spodziewał — cała toruńska mieszczańska śmietanka towarzyska w komplecie, panie z bractwa róż-

żanego... Jak Toruń Toruniem — żadna z dotychczasowych imprez nie miała tylu ciekawych uczestników.

Przysłuchując się szeptom i ironicznym uśmiechom, zdenerwowane spojrzeniom niezbyt licznie reprezentowanych studentów. Oho — już niektórzy przykladają dlonie do ucha — sensacyjne zgromadzenie rozpoczęło się.

Trzeba przyznać, że pierwszy mówca nie zawodził oczekiwań.

— Udzielam głosu tow. Puciato-wej — oznajmił przewodniczący.

Na blade lica słuchaczy, tych z bractwa różańcowego wystąpiły niezdrówie wypieki — Cibajtisowa, Cibajtisowa — poszedł złośliwy szept po sali.

— Tu wchodzi w grę porachunki osobiste. Tow. Wróbel jest szwagrem tow. Barendy — dramatycznym głosem obwieszcza tow. Puciato-wej.

— To jest jednym wielkim skandalem i afetą kryminalną — stwierdził jeden z następnych mówców. — To faszystowska, haniebna sprawa...

— To jest ohydne, ordynarne świństwo pod pokrywką licencji politycznej...

Na sali szalał... Tluste dłonie pań wał, klaszcza, biją brawa. Lysawo panowie z brzuszkami ponsowi z emocji rzucają piorunujące, zda się — mordce spojrzenia w stronę siedzącego w prezydium sprawcy „afety”.

Studenci zdają się nie wierzyć temu co słyszą. Patrzają z przerażeniem na poważane autorytety, jak pienią się i burzą niby średnio-wieczni inkwizytorzy, na miotające-

go się na trybunie szanowanego gościa z Warszawy. Bo kim jest ten, który nazywa człowieka siedzącego w prezydium kłamcą, tchórzem i faszystą — to przecież tow. Cieślak, poważny naukowiec, lubiany przez młodzież rektor Szkoły Głównej Służby Zagranicznej...

O cóż więc chodzi — o morderstwo, sabotaż, zamach polityczny, podpalenie? Nie, chodzi o co innego, o wydaną niedawno przez „Iskry”, książkę Zdzisława Wróbla pt. „Inauguracja”...

Ta oto książka została przez tow. Puciato-wej nazwana paszkwilem nadającym się do zginiłymi burżuazyjnej, a dyskusja nad nią według tej towarzyszkii powinna odbywać się w sądzie,

jest to faszystowska książka — bo chodzi o rozgrywkę personalną, bo Stolarczyk — w którym prof. Cieślak odszukał siebie, to postać negatywna, a Barend — rzekomy szwagier autora — to postać pozytywna, podczas gdy w rzeczywistości było odwrotnie itp. Przy okazji nie szczędzono obelg autorowi, nie szczędzono rozmaitych szczegółów z działalności Zaremby w Toruniu a nawet wręcz pytano się Wróbla dlaczego nie skorzystał z dokumentów partyjnych, z których niedwuznacznie wynika kto naprawdę był pozytywny, a kto nie.

Oj, nie łatwo być autorem książki o Toruniu, nie. Nie wolno ci użyć nazwiska Stolarczyk, bo stolarz i cieśla to pokrewne zawody, nie wolno puścić wodzy fantazji — bo przecież w dokumentach jest inaczej, nie wolno użyć satyrycznego przeja-krawienia — bo sta-jesz się paszkwilem i to do tego faszystowskim!

Komuś kto zjawiał się tu z zewnątrz wydawało się, że to co dzieje się na sali, to jakiś koszmarny sen. Nasuwały się skojarzenia z inkwizytorskimi sądami mrocznego średniowiecza, z paleniem czarownic z dziesiętnastowiecznymi groteskowymi sporami mieszcuchów na temat Zagłoby.

Na początku porywała pasją i chęć wymiana karykaturalnego „procesu”, ale zaraz przyszło opamiętanie — przecież niemożliwe aby na tej sali nikt nie zechciał czy nie potrafił dać właściwej odpowiedzi.

Rzeczywiście, nieliczni na sali studenci pokazali w jaki sposób winno się dyskutować nad książką, rozprawili się z tymi, którzy na gwałt chcieli udowodnić, że to oni są tymi, których opisał autor.

— Ja i 99 proc. czytelników traktujemy tę książkę jako powieść, która oddaje atmosferę lat czterdziestych siódmym nie tylko w Toruniu, która oddaje typową specyfikę wielu uczelni z tego okresu — powiedział młody student, kol. Rulka.

(Dokończenie na str. 5)

W dniach 7 i 8 marca br. odbyła się w Warszawie I Ogólnopolska Narada Młodych Aktorów i Reżyserów zorganizowana przez Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej i Zarząd Główny SPATIF. Podczas dwudniowej dyskusji, w której wzięło udział ponad 30 delegatów z różnych ośrodków teatralnych naszego kraju, omówiono wiele problemów związanych z pracą młodego aktora i reżysera w teatrze.

Szczegółowe omówienie Narady oraz fragmenty niektórych przemówień przyniesie następny numer PO-PRUSIO.

Lakmuskowy
PAPIEREK



UPIORY POD BRONIA

Gdy w trakcie przechadzki spadnie komus na głowę cegła, warszawska gwara skwituje to lapidarnym powiedzonkiem: „Przypadki chodzą po ludziach”. Przypadki „chodzą” i po wydarzeniach historycznych, ale idea „zjednoczonej Europy” nie jest płodem naimowoi-ego zetknięcia się cegły z głową kogoś z kapitalistycznych mężów stanu. Ci, którzy wywlekli tę ideę z historycznej rupieciarni, mieli po temu ważne powody. W obliczu bankructwa antyradzieckiej interwencji nawet pomarszczona ze starości idea „zjednoczonej Europy” została powołana pod broń i wystana na front walki z „widmem komunizmu”.

Od roku 1945 upiór „zjednoczonej Europy” zaczął wycinać prawdziwe harce, a rok 1948 stał się widownią igrzysk epokowego ewenementu: doszedł do skutku Kongres Europejski. Honorowym przewodniczącym Kongresu został Winston Churchill.

Wiekopomne uchwały Kongresu Europejskiego powołały do życia szereg „europejskich” instytucji. W Strassburgu zaczęło obradować Zgromadzenie Europejskie, przypominające swą gadatliwością ów frankfurcki parlament z okresu Wiosny Ludów, nazwany przez Engelsa zbiegowiskiem starych bab. W tymże Strassburgu, który — trzeba to dodać — awansował do godności stolicy, zjednoczonej in - potencjii Europy, obraduje Rada Europejska. Organizacje wojowniczych „europejskich” derwiszów skoordynowały swą działalność w ramach Ruchu Europejskiego, który m. in. posiada Komisję Kulturalną. W plany tej komisji wchodziło utworzenie „europejskiej” wyższej uczelni, ale wystąpiły poważne trudności przy szukaniu dla niej siedziby. Toteż wielka radość zapanowała wśród bezdomnych „Europejczyków” — gdy Kawałec van Outryve d' Ydewalle, gubernator Flandrii Zachodniej, zaproponował im jako siedzibę uczelni, centrum administracyjne powierzonego jego pieczy terytorium: stare, piękne miasto Brugues. Oferta gubernatora została z miejsca przyjęta i w październiku 1950 roku, w Sali Gotyckiej miasta Brugues, w której niegdyś ustanowiono order Złotego Runa, odbyła się inauguracja tej pierwszej w dziejach świata „europejskiej” wyższej u-

czelni. Tak oto piękne miasto Brugues stało się siedzibą kuźni wojowniczych „Europejczyków”, miastem sprawującym rząd dusz zjednoczonej in-potentiam Europy.

Rektorem Kolegium Europejskiego, bo tak się uczelnia nazywa, został Henryk Brugmans, „w cywilu” profesor uniwersytetu w Utrechtu, stary, doświadczony europejski derwisz. Od roku 1947 jest on przewodniczącym Europejskiej Unii Federalistów i z tego tytułu wielokrotnie zabierał głos w sprawach bieżącej polityki.

Na Kongresie Europejskiej Unii Federalistów (EUF) w Rzymie, w listopadzie 1948 roku, pan prezes oświadczył: „Stanowimy część, jeżeli nie amerykańskiego, to w każdym bądź razie antyrosyjskiego obozu” i wystąpił z zadaniami: „wyznania Rosji z Europy” oraz włączenia Niemiec do federacji europejskiej. W roku 1950 Jego Magnificencja wydał dzieło zatytułowane: „La cité européenne”, w którym wykłada z najdrobniejszymi szczegółami federalistyczny program zjednoczenia Europy. Dzieło to zaczyna się od słów: „Europa, jeżeli chce obronić się i przetrwać, musi się zjednoczyć”; następnie pan Brugmans twierdzi, że „pomoc Marshalla otwiera drogę jednoci europejskiej i wymaga obalenia istniejących struktur narodowych” i wreszcie kończy książkę wezwaniem do Boga, by dał federalistom cierpliwość niezbędną dla doprowadzenia do skutku wielkiego dzieła integracji europejskiej. Pan Brugmans jest bowiem wojowniczym katolikiem.

Znajomość z tym panem jednak nam nie wystarczy. Jako ludzie prozaiczni chcemy przede wszystkim wiedzieć, kto tę instytucję finansuje, bowiem roczny budżet w wysokości 4.500.000 franków belgijskich nie spada chyba z nieba, nawet jeżeli modlą się o to tak czyste dusze jak rektor Brugmans. I rzeczywiście, genera budżetu jest bardzo przyziemna. Kolegium jest mianowicie finansowane przez kraje Beneluxu i Niemcy zachodnie. Kto ile daje — trudno dociec: Niemcy nie są chyba jednak na szarym końcu płatników.

Wiedząc już, kto płaci i komu płaci, musimy dowiedzieć się dokładnie — za co się płaci.

Kolegium Europejskie zdaniem swego wykładowcy Lory „jest instytucją wyższych studiów międzynarodowych, którego zadaniem

jest zapoznanie pewnej liczby studentów z rzeczywistością europejską”. Rektor Brugmans, rozwijając to sformułowanie pisze: „Kolegium przygotowuje do działania, które może się rozwinąć na różnorodnych odcinkach propagandy, radia, prasy, dalszych badań naukowych, a także na odcinku działalności politycznej lub administracyjnej, narodowej czy ponadnarodowej”.

Kolegium przygotowuje więc „wojujących Europejczyków”. Nie mamy podstaw do niewierzenia w słowa przewodniczącego Stowarzyszenia Byłych Słuchaczy Kolegium Europejskiego, gdy pisze on: „Byli Brugijczy pracują w Sekretariatach Rady Europy, Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, Europejskiej Organizacji Współpracy Gospodarczej, w Europejskim Ośrodku Kultury, w Ruchu Europejskim, w administracji publicznej, w różnych organizacjach narodowych i międzynarodowych. „Wojujący Europejczy” z Brugues, słowem i czynem przygotowują więc zjednoczenie Europy.

Wyhodowanie takich wojowniczych „Europejczyków” wymaga doboru ludzi szczególnie pewnych. Liczba słuchaczy Kolegium nie przekracza więc czterdziestu wybranych spośród absolwentów wyższych uczelni przez komisję selekcyjną.

„Europejskie” czasopismo „Synthesés”, z którego pochodzi większość naszych wiadomości o Kolegium Europejskim, takownie wspomina o tym, że studiują tam również „emigranci” z Polski, Węgier i Czechosłowacji. Pisze o tym natomiast mniej dyskretny „Yearbook of International Organisations” z roku 1951-52.

Tak więc wojujący europejczy derwisze inkasują brzęczącą monetę za wyprodukowanie w ciągu roku czterdziestu innych europejskich derwiszów.

Nauka odbywa się naturalnie w duchu odpowiadającym panu Adenauerowi. Tak więc np. prof. Le Lannou naucza: „Geografia nie jest nauką, jest stanowiskiem”. Latwo jest bowiem uzasadnić przy pomocy takiej „geografii” zadanie zjednoczenia Europy po Ural, Władywostok, ewentualnie po Wieleń czy Dniepr, w zależności od koniunktury. Gdy profesor Łazitch wyklada, że „komunizm jest podbu-

SYNTHESES

Revue Européenne

Numero special consacré au COLLEGE D'EUROPE

avec la collaboration de:

Salvatore de MARIAS
Henri BRUGMANS
Maurice JACQUET
Maurice LE LANNOU
Maurice GRACHOWITZ
Curtis SMITH
Léon LAMOND
Carl RAUSCHER
Jean WAGNER
Jean PÉRE
Henri OUDINOT
Roch LEBLANC
Louis ST. ROMAN
Gaston CHARLON

Oto okładka specjalnego numeru miesięcznika „Synthesés”, organu „wojujących Europejczyków”, poświęconego „Kolegium Europejskiemu”, pierwszej w dziejach „europejskiej” uczelni kształcącej naukowców do krucjaty przeciwko Wschodowi.

Jeśli interesuje was, czego uczą się studenci tej niezwykłej uczelni — przeczytajcie artykuł obok.

dową reżim totalitarnego” plynie stąd wniosek prosty — trzeba zniszczyć komunizm i reżim totalitarny. Pisał już przecież Burnham, że: „Walka o wyzwolenie 800 milionów niewolników warta jest nowej krucjaty”. Słowa „wyzwolenie” i „niewolnicy” trzeba oczywiście rozumieć na opak. Dziwny jest bowiem ten „europejski” język.

Dziwno co najmniej są również jego koneksje pozaswiatowe. Oto dnia 7 września Adenauer oświadczył: „Bóg powierzył Niemcom stworzenie Europy, prowadzenie jej i doprowadzenie nią”. Zgódźmy się raczej na liczbę mnogą: to chyba bogowie powierzyli faszyzmowi tę misję. Bogowie stali, nafty i złota lech zainteresowania są miedzy innymi: „Jest rzeczą szczególnie niebezpieczną — pisał „New York Herald Tribune” — odnalezienie nowych rezerw ludzkich, zaś rezerwy te znajdują się tylko w Niemczech”. Dlatego „bogowie” finansują również owo „Kolegium Europejskie”, którego „absolwenci” mają spełniać m. in. rolę naganiaczy.

Jednak fakty przekonują, że i bogowie są omylni. Owych „rezerw ludzkich” jest coraz mniej. Natomiast coraz więcej ludzi — również i w Niemczech — przeciwstawia się poczynaniom „bogów”. Wykształcony za ich pieniądze „absolwent” grozi... bezrobocie.

Studenckie rozmowy o szczęściu

JANUSZ CZYŃSKI

Nie były częste. Z tych, w których brałem udział, wybrałem kilka, by przedstawić dość typowe wyobrażenia i koncepcje. Oto one: najczęściej mówiono tak: „szczęście jest zupełnie subiektywne. Przecież szczęście to trwałe, przyjemne życie, przyjemne wówczas, gdy przynosi realizację pragnień człowieka. A pragnienia te mogą być najróżnorodniejsze — jak różni są ludzie. Dlatego też nie ma żadnej obiektywnej postawy, kryterium, ani prawdziwego szczęścia. Szczęście jest ludzkie — jakie kto sobie wymarzy. I dalej padły stwierdzenia: „wystarczy, że czuje się szczęśliwym”, „każdy człowiek powinien dążyć do swego własnego szczęścia”.

Praktycznym potwierdzeniem tej teorii — mówiono — są nasze dyskusje, duża różnorodność stanowisk, różnorodność usprawiedliwiona.

*

W szczytych wystąpieniach — takie były na ogół wszystkie, przynajmniej o takich tylko piszę — nie brakło gloryfikacji przyjemności, ba, nawet uznania ich dominującej roli w motywach postępowania człowieka. I z takich to właśnie podstaw teoretycznych zrodziła się zapewne kartka, którą napisano podczas jednej z dyskusji. Pisana była dla przyjaciółki — przypadek zrzędził, że dziś można ją tu zacytować w całości.

„Moja koncepcja szczęścia:

1. Pensja w miarę wystarczająca — około 2 tys. zł.
2. Możliwie porządną typ na „towarzystwa życia” (ładne dzieci — co najmniej 2).
3. Mieszkanie — najmniej 2 pokoje.

4. Motor.
5. Pies
6. I żeby mnie zęby nie bolały.

A co tu się nie zgadza z komunizmem? Kochanka mam mieć i mieszkać w szatasie? Ja mam dosyć walki, chcę trochę pożyć bez walki”.

Na kartce była też replika adresatki owej oryginalnej korespondencji:

„A konsekwencje, jeśli to powiedzą wszyscy i tak zrobią?”

Nieznane są dalsze dzieje tej prywatnej polemiki. Ale znane są zapewne setki podobnych przykła-

dów — ludzi o podobnych marzeniach, o podobnej „filozofii życia”. Przecież niedaleko gdzieś zrodziła się taka maksyma życiowa młodej dwudziestokilkuletniej dziewczyny, o której pisała do Redakcji kol. Teresa Dominiak z Torunia.

„Jestem artystką w mrości i dlatego jestem szczęśliwa. Pamiętaj! Mąż nigdy nie powinien wiedzieć, że żona go kocha. Tylko „niepewność” gwarantuje stałość jego uczuć. Taka jest moja maksyma życiowa”.

Zapewne zgodnie z tą maksymą owa Hela zabrała swę przyjaciółce kochanego chłopca traktując go jako zupełnie naturalne prawo „sprytniejszej”.

O miłości otwarcie mówiono jednak mało. Wiadomo — sprawy najbardziej osobiste — trudno z nich się zwierzać. Ale wyczytałem jeszcze w jednym liście wyznania studentki II r. UMCS, która miłość uznawała za jedyną godną uwagi sprawę życia, a w każdym bądź razie najważniejszą — miłość, jak pisała, prawdziwą, ogarniającą na zawsze wszystkie myśli i uczucia człowieka.

*

Opowiedziałem o tym Andrzejowi. Interesuje się wszystkim, głównie sztuką, stara się zdobyć „pełnię życia”. Spytałem się pojmuję jak te dziewczęta — może trochę na wzór słynnej książki Harrisa.

Uznał marzenia dziewcząt za „racjonalne” lecz dość prymitywne. Swoją koncepcję uważa za nieskończenie wyższą. Przynał, że „przygody miłosne” są niezbędnym składnikiem jego życia, które uważa za szczęśliwe i pełne. Ale za ważniejsze od miłości (kochal się co prawda kiedyś na zabój przez kilka lat) uznał swe zainteresowania, codziennie „delektowanie” się sztuką, rozmowy z przyjaciółmi — artystami. Jak mówił, „wchłaniał” w siebie wszystko co ciekawe, godne uwagi. Jest ocytany — kiedyś, choć krótko, zajął go egzystencjalizm. Rozprawiał o „Ładacznicy z zasadami” i... o książkach Heideggera, potem przyszła moda na inną intelektualną pożywkę: muzykę i sprawy literackie. I tak jak mówił, życie daje mu szczęście: teatr, kino, częste towarzyskie dyskusje, kawiarnie, czasem wspomniane „przygody”. Jest przekonany, że żyje nie tylko ciekawie i szczęśliwie, ale i słusznie — jak mówi — prawdziwie.

*

Wydawało się, zupełnie inaczej pojmowali sprawy szczęścia napotykani w rozmowach katolicy. Ci, którzy na serio traktowali swą religijną światopogląd, o sprawach wspólnych wyżej mówili jedynie jakby na marginesie, nawet trochę wstydliwie. W jednej z dyskusji wysąpił z fanatyczną obroną wartości religijnej młody student zyskując zresztą aprobatę części sali. Mówił, że jego ciężkie życie możliwe było do przetrwania jedynie dzięki sile wiary, pomocy, jaką dawała mu modlitwa. Zaatakowano go ostro: lecz nawet te argumenty, które celnie trafiały i nie mogły być odparte, nie zachwiały jego stanowiska.

Przypomniałem sobie wówczas jednego ze studentów PL, który napisał w ankiecie katedry podstaw marksizmu — leninizmu, że wierzy, choć wie, iż religia nie może przedstawić żadnych faktów dla obrony swych tez. Wierzył, jak pisał, bo daje mu to potrzebne i przyjemne przekonanie, że nie wszystko skończy się ze śmiercią. I dlatego, mimo słuszności argumentów nauki, nie myśli wyrzekać się swej wiary, która daje mu przyjemne i spokojne, wolne od wielu „metafizycznych trosk” życie.

*

Zdarzali się wreszcie ZMP-owcy, którzy szukali odpowiedzi na pytania o szczęście w literaturze; grupa dziewcząt z IV r. w Białymstoku poszukiwała „prawdy życia” w romantycznych utworach XIX wieku, marząc o poświęceniu, o prawdziwej i głębokiej a nie biologicznej tylko miłości. Dawniej były aktywistkami, lecz dziś, jak mówiły, prawie wszystko stało się w organizacji takie blade, bez walki i wielkich spraw, takie „administracyjno-urzędnicze”; dlatego pozostały im tylko marzenia i romantyczna literatura.

Inni znów — np. uczestnicy dyskusji z III r. biologii UW — czuli się mocno związani z bieżącym życiem, z każdą jego chwilą. Gorątkowo szukali praktycznych wskazań, by lepiej i pełniej żyć, zrozumieć codzienne sprawy, w których przecież muszą znajdować się przynajmniej okruszki szczęścia. Dość mieli teoretyzowania — chcieli wiedzieć praktycznie i umieć żyć szczęśliwie.

*

I tu ogarnęły mnie wątpliwości. Czy te ostatnie stanowiska są słuszne? Czy są jakieś „znane prawdy” we wszystkich poprzednich? Krytykowane je, to prawda, lecz nieprzekonywająco, blade, często tylko „krzykiem”. Dlatego też nie przytoczyłem innych głosów. Gdzie szukać prawdziwej koncepcji szczęścia, takiej, która ukazywałaby prorywające cele, radość życia? Co odpowiedzieć na proste przecież pytanie: jak żyć? Co o tym sądzicie, Czytelnicy?

ZADANIE 22

Wielki Maksymilian



W arcydziele Gustawa Flauberta „Bouvard i Pécuchet” (Książka i Wiedza, Warszawa 1950) opisana jest niezapomniana scena: nauczyciel Petit wyklada „w gorączkowych słowach artykuły swej wiary”, między innymi „równość płac, przeciętny poziom niezbędny do osiągnięcia złotego wieku w postaci republiki z dyktatorem na czele, zuchem, który to wszystko zrealizuje bez ceregieli”. Następnie Petit wznosi „toast na cześć bohatera, nieśmiertelnej ofiary, wielkiego Maksymiliana” (str. 169).

Przy Maksymilianie tłumacz (dodajmy: świetny tłumacz, Wacław Rogowicz) dał następujący przypis: „Kogo miał autor na myśli, trudno dociec”.

Czy rzeczywiście trudno? Zadanie polega na opracowaniu przypisu, który by mógł wejść do drugiego wydania tej cennej książki. Dla ułatwienia załączamy portret „wielkiego Maksymiliana”.

ZADANIE 23

Złota myśl Pawłowa

„Nauki przyrodnicze — mawiał Pawłow — to praca ludzkiego umy-

śłu, zwrócona ku przyrodzie. A przyrodę należy badać bez żadnych interpretacji i pojęć pochodzących z innych źródeł poza tylko nagimi faktami” (A. Popowski, Mózg poznaje sam siebie, Czytelnik 1950, str. 50).

Zadanie polega na odpowiedzi przeciw czemu jest wymierzona ta myśl.

ZADANIE 24

Maupassant o kobietach

W noweli pod tytułem „Naszyjnik” pisze Guy de Maupassant: „Kobiety nie należą do żadnej rasy i do żadnej warstwy społecznej, a urodzenie i rodzinę zastępują im piękność i wdzięk. Hierarchię wśród nich stwarza jedynie wrodzona subtelność, wykultiw instynktów i by-



STO TYSIĘCY PYTAŃ, kwestii, trudności, problemów, łamigłówek, zagadnień, zagadek i zadań. NIEUSTAJĄCY KONKURS spoglądawczości, pomysłowości, inteligencji, erudycji, dowcipu, zdrowego rozsądku, wyobraźni poetyckiej, umiejętności rysowania, komponowania, obliczania, odgadywania, demaskowania oraz wórowego, abstrakcyjnego, filozoficznego myślenia pod redakcją dr Andrzeja NOWICKIEGO.

strość umysłu, dzięki którym dziewczęta z ludu stają się równe wielkim damom”. (Opowiadania, Czytelnik 1953, str. 76).

Czy zgadzacie się ze zdaniem Maupassanta?

ZADANIE 25

Dwanaście filozofek Greckich

Jakie poglądy filozoficzne głosiły (do jakich szkół filozoficznych należały) następujące uczone greckie:

1. A r e t e
2. A k s j o t h e a
3. D a m a
4. E r o t i o n
5. H e d e j a
6. H i p p a r c h i a
7. L a s t h e n e j a
8. L e o n t i o n
9. M a m m a r i o n
10. N i k i d i o n
11. T e m i s t a
12. T h e a n o.

Odpowiedzi na nieustający konkurs „Kto potrafi?” będą nagradzane raz w miesiącu. A oto lista przedmiotów, które już w tym miesiącu nagrodzą wysiłki, dowcip i umiejętności najpiękniejszych Czytelników:

1. Teżka skórzaną lub aparat projekcyjny.
2. Dobre wieczne pióro lub żywy zółw.
3. Bon książkowy na sumę 150 zł lub 1 kg luksusowych słodczy.
- 4-10. Siedem wartościowych książek.

A zatem rozwiązujcie, myślcie, rysujcie i piszcie do nas. Pierwsze wyniki — lista nagrodzonych — i spis dalszych nagród już w marcu!

Do otrzymania nagrody wystarczy dobra odpowiedź nawet na jedno pytanie.

Na kopercie należy podawać numer pytania, na które nadsyła się odpowiedź.

Dziś po raz pierwszy publikujemy niektóre odpowiedzi, nadesłane na nasz konkurs „Kto potrafi?”. Ponieważ odnoszą się do zadania nr 2 — „Tyłko dla mężczyzn” — a dotyczą ideału kobiety, rozstrzygnąć powinnyście Wy, koleżanki, która z nich uznać za najlepszą?

„Dobry żart tynia wart” — dobra rada też, zatem i rady koleżanek będą nagradzane. Prosimy Was o pospiech, bo pierwszy etap konkursu ukończymy nagrodami już w 13 numerze POPROSTU. Oczywiście, redakcyjne jury ocenią będzie odpowiedzi na wszystkie pytania, a więc niechaj nie martwić się ci, którzy nie pisali o problematyce ideału kobiety.

UWAGA! PIERWSZE ODPOWIEDZI MĘŻCZYZN O KOBIECIACH!

Uważam, że kobieta odważna nie jest ani odrobinę mniej ponażona od kobiety nieodważnej, tzn. na przykład od tej, która — powracając do domu — zastajemy na szafie, „ponieważ pod łóżkiem coś chrobotało”. Nie ma natomiast nic kobiczego w sobie istota żeńska o „odwadzie”, którą sama charakteryzuje w ten sposób: „Mysz dla mnie to fraszka — jedną mysz sama bułem rozniołam, innej obęgam wywalałam ogon”.

Sądzę, że im kobieta jest delikatniejsza, bardziej współczująca, serdeczna i nieśmiała (nieśmiałość nie koliduje z odwagą), tym bardziej jest ponażona. Jest kobieta posiada wspomniane wyżej cechy i jest przy tym mądra i odważna, śmiało można życzyć jej za żonę — nawet najbliższemu przyjacielowi.

(A sobie nie? — red.).

JERZY CIEKALA
Warszawa

P. S. Przyznam samokrytycznie: tych kilka myśli o kobietach pisałem z myślą o żywym zółwie. Oby los był dla mnie łaskawy!

*

Bzdura! Gdyby Russel czytał „Pamiętkę z Celuioty” Russ widział „Pokolenie”, na pewno podobałoby mu się Madzia i Dorota.

Nie wiem, jak w ogóle można nie dostrzec tego, że kobieta może być kochana za odwagę i że odwaga jest najlepszą cechą doskonałą harmonizującą z subtelnością, uczuciowością i wszelkimi zaletami miłej żeńskiej istoty. Dowody z dziedziny sztuki przytoczyłam — a żyłe potwierdza je codziennie. Mam przecież

dzienne, a przy tym urocze i miłe koleżanki, w których „tylko się kocha”.

„JEDEN Z ZAKOCHANYCH”

Uniwersytet Warszawski

Kogoś pokochać i powiedzieć mu to, uważam równie za pewną odwagę. Jeśli czyni to kobieta, to tylko głupiec miałby jej to za zło. Dlatego kobieta powinna być odważna i mówić prawdę, to co czuje w sercu, a wtedy podobają się będzie mężczyźnie.

W związku z tym nie zgadzam się z Russell'em.

L. K.
Szczecin

Pewnie, że zgadzam się z Russell'em! Kobieta uważana była i jest za pięć słabą. Słabość kobiety imponuje mężczyźnie. Kobieta odważna a maskująca tę swoją zaletę, staje się mogła dla nałwań, na której warto by dać napi-

Tu leży frajer uziemiony.
Przez kobietę „znokautowany”.

A. RUDNY
Nysa

*

Bertrand Russell ma rację! Kobieta, która stara się być odważna, bardzo często zabiera pole (piszę swemu towarzyszywi. No, oczywiście, nie może się to spodobać chyba żadnemu mężczyźnie. Kobieta w takich wypadkach powinna ukręcać swoją odwagę. Niewątpliwie i to przyjdzie jej bardzo łatwo, albowiem nienaturalność od początków świata jest cnotą kobiety.

ZB. KRAJNIK
Wrocław

CENAKARIERY

Jak zrodziła się ich miłość — trudno powiedzieć. Faktem jest, że już pod koniec listopada koledzy z grupy zaczęli ich razem łączyć. „Tylko patrzeć — mówiono — jak Wdewska i Barańska założą rodzinę”. Sławka, choć śmiał się z tych plotek, irytowały dyskretne uśmiešky kolegów, poufale poklepywanie po ramieniu i pytanie: „Kiedy weselę?”. Cóż oni chcą od niego? Co ich obchodzi jego własne, osobiste sprawy? Skąd wiedza, czy uczucie, którym obdarzył Renę, można nazwać prawdziwą miłością? Osobiście był przekonany, że kocha szczerze.

Rena była zupełnie inną kobietą niż te, w których podkochiwał się w handlowce. Była tylko młodzieńką, jak tamte. Miała siedemnaście lat. Szczupła blondynka, wysoka, o prostych rysach twarzy. Wydawała się cicha i nieśmiała. Ale to były pozory. Miała w sobie bowiem dużo hartu i upartej woli. Pierwsze ćwiczenia, zwłaszcza ze statystyki, podstawa marksizmu i leninizmu i ekonomii politycznej zwróciły na nią uwagę asystentów, aktywistów i grupy. Mówiła odwrotnie i dobrze. Celowała w matematyce. W zespole samopomocy w nauce, do którego należał Sławek, prowadziła nad innymi inteligencją i oczytaniem. Sławek po cichu zaczął z nią rywalizować: „ona nie śmie więcej umieć niż ja” — powtarzał z uporem. A Rena nie chowała swych wiadomości do kieszeni. Chętnie pomagała Sławkowi i to nie tylko w nauce. Gdy miał kłopoty, bowiem nie dano mu początkowo ani „akademika” ani stypendium, natychmiast interweniowała w ZSP i dziekanacie. Sama pożyczala mu pieniądze, mimo że utrzymywała się z częściowego stypendium. Kiedy Sławek z powodu tych trudności chciał zrezygnować ze studiów, rozmawiała z nim nie jeden raz. Podziwiał jej twarde zasady życiowe. Miała swój wytknięty cel: studia i pracę w organizacji. Zmierzała do niego drogą prostą, bez zakrętów.

Sławek znał dotychczas puste, lekkomyślne dziewczęta. Rena była inna. Przesadzała nawet w swych surowych sędach o życiu i ludziach. Sławka zadziwiał jej optymizm. Z entuzjazmem przyjmowała najtrudniejsze zadania organizacyjne. Nie narzekała na nawal zajęć. Brała się do wszystkiego: do sportu, do organizowania zabaw i wieczorów, śpiewu i wycieczek. Kwitła zdrowiem, wydawała się najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem.

Na początku listopada grupa pojechała na wykopki. Rena powoziła koni. Zarumieniona od wiatru pokrzykiwała wesoło, śmiała się. Sławek starał się być jak najbliższy Reny. Władek — szkolny kolega — rzącał go znacząco: „Znowu wpadłeś?”. Po pracy zostali dłużej niż inni. Była już zimna noc, kiedy zabrala ich ciężarówka. Sławek odspłót Renie swój płaszcz. Podziękowała. Nie rozmawiali dużo. Chyba z powodu zimna przytulili się do siebie. I wtedy na tej podskakującej na wybojach ciężarówce, przy romantycznym migotaniu gwiazd myśleli dłużej niż zwykle o sobie...

W parę dni po wykopkach dla wszystkich stało się jasne, że między Reną a Sławkim zacieśniły się więzy, nie tylko koleżeńskie.

...W kwietniu Rena zmieniła. Sławek z niepokojem patrzył na nią. „Zle się czujesz? — pytał troskliwie — idź do lekarza...”. „Nie mi nie jest — bagatelizowała Rena — jestem zdrowa, to tylko z przemęczenia, czuję się słabo”. Sławek nie ustąpił, a doktor stwierdził ciążę. Rena rozpłakała. „Nie martw się — uspokajał ją Sławek — pobierzemy się, a po studiach będziemy mieli trzyletniego synka! Czy to nie wspaniale?”

W parę dni później Rena wyprosiła się z „akademika” i zamieszkała u pani Miry, znajomej jej matki. W ślady Reny poszedł Sławek. Urządzili, że na Wielkanoc pojadą do domu i poproszą rodziców o zgodę na ślub.

*

Wspólne życie z Reną w pojęciu Sławka było wyzwaniem rzuconym opinii społecznej. Chociaż większość studentów przyjęła to jako coś zrozumiałego i naturalnego, to jednak Sławek poczuł odczuwać poważny niepokój. Nie zastanawiał się do tej pory nad konsekwencjami współżycia z Reną. Było mu na razie dobrze. Tym usprawiedliwiał swoje postępowanie. Perspektywa dalszego życia stała się bardzo ostro w momencie, gdy jechał po zgodę rodziców na ślub.

Barański nie wiedzieli, że syn mieszka razem z Reną, że Rena jest w ciąży. Ani im przez myśl nie przeszło, by Sławek miał się żenić przed ukończeniem studiów, przed zajęciem dobrej pozycji w społeczeństwie. Byli bowiem ludźmi, których poglądy życiowe tkwiły głęboko w czasach odległych o kilkadziesiąt lat. Mieli w swym życiu tylko dwa cele: wygody i dobrobyt własny oraz karierę życiową jednaka. Szczęście rodzinne ukonkretnili we własnym wygodnym domu z ogrodem i w dobrym jedzeniu. Osiągnąć ten cel nie było łatwo. Barański przed wojną był szoferem w MPO. Chwytał się przy tym różnych zarobków. Byle tylko zbudować dom. Przed wojną stanęły fundamentey i dwie izby. Chronili je troskliwie przed spalaniem w czasie okupacji. Dom ocalał. Po wojnie oboje zakasali rękawy. Barański

robił pomniki na groby, jeździł autem, brał się do blacharstwa i kornikarstwa. Barańska pracowała w DRN. Wspólnymi siłami wykańczali swój domek.

Teraz przede wszystkim chcieli świetnej kariery dla syna. Matka pielęgnowała go jak drogocenną roślinę. Wymarzyła mu w myślach życie dobre i dostatnie. Skonczył studia, dostanie dobrą posadę, będzie zarabiał dużo pieniędzy, ubierze się ładnie, a i rodzicom nie skąpi grosza. Gdy ożeni się, zamieszka razem z żoną w ich domu. Żonę musi mieć też wykształconą, ładną i bogatą. Będzie mu uprzyjemniał życie.

Sławek dużo przejął z ich sposobu myślenia. Często nie zdawał sobie z tego sprawy, bowiem nigdy nie znalazł się w sytuacji, która zmuszałaby go do samodzielnego podejmowania decyzji.

W czasie świąt wielkanocnych Wdewscy zaprosili Barańskich. Wdewska proponowała ślub. Barańska stanowczo protestowała: „Jeżeli skończy studia, to wtedy możemy o tym porozmawiać” — o rzekła kategorycznie. Sławek milczał. Gdy wrócił do Wilanowa, napomknął jeszcze raz o ślubie. Matka nie chciała o tym nawet słyszeć.

Z Reną porozmawiał zaraz po przyjeździe do Sopotu. Powiedział jej o uparcie negatywnym stanowisku rodziców. Dopiero wtedy Rena zaczęła pojmywać tragizm położenia. Już od chwili, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, poczęła tracić swoją energię i zapał. Coraz bardziej natomiast przywiązywała się do Sławka, coraz bardziej swe życie wiązała z jego życiem. Wierzyła w swoje siły i w miłość Sławka, w to, że nie ma takiej przeszkody, której by nie usunęli. Tymczasem, gdy przyszła pierwsza przeszkoda — sprzeciw rodziców, Sławek stał się bezradny. „Nie wiem — powtarzał w kółko — nie wiem co mam zrobić”.

Coraz częściej łapał się na tym, że cała ta sytuacja zaczyna mu ciążyć. Z domu nie ma poparcia i chyba nie będzie go miał, bo w dodatku matka nie lubi Reny. Co zrobi, gdy urodzi się dziecko? Będzie chyba musiał rzucić studia i wziąć się do pracy. Brrrr! — Jeżeli nie chcą się zgodzić — myślała głośno Rena — to możemy tymczasem tak żyć. Miłość jest legitymacją naszego postępowania. — Sławek uczył się tej myśli. To było jakieś niekrepujące wyjście. Ale na uczelni coraz częściej pytało go o ślub. Pytali koledzy w najlepszej wierze. O to samo pytały koleżanki Renę. W dodatku kiedyś Wdewska odwiedziła niespodzianie córkę i zastała ją ze Sławkim w całkiem niedwuznacznej sytuacji. Nie powiedziała jednak ani słowa. Dopiero w liście oświadczyła wyraznie: „Chyba postąpił pan jak mężczyzna — panie Sławku. Niech pan wie, że mój mąż nie wpuści Reny do domu, jeżeli nie weźmie ślubu”.

— Weźmy ślub, Sławku — prosiła wtedy Rena — po co mamy mieć kłopoty i z moją rodziną? — Sławek w dalszym ciągu był bezradny. „Cóż ja mogę? Moi rodzice nie chcą się zgodzić...”. Za parę dni szerzej zwierzył się Renie ze swych myśli: „Pomyśl, Rena, czy dobrze byśmy zrobili biorąc teraz ślub na pierwszym roku? Zwiążemy sobie życie, może przerwimy studia... • ja chcę się uczyć, być czynnym w życiu! Nie chcę biedować!” — Jak on dziwnie mówi — zastanawiała się Rena — a co ze mną będzie? Sam da sobie radę. Ja zostanę przecież z dzieckiem... Czy miłość nie ma żadnego znaczenia? Targnęła ją dumą i ambicją. Nie będzie go prosić.

— Nie martw się — powiedziała jakimś suchym głosem — rzeczywiście zwiniliśmy, postąpiliśmy jak dzieci. Ja przede wszystkim jestem winna, muszę ponieść konsekwencje...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zaniepokoił się nagle Sławek, choć niepokój mieszał się z jakimś uczuciem ulgi...

— Idź Sławku swoją drogą, możesz przenieść się na inną uczelnię, ja... ja nie zgine, dam sobie radę! — I naraz Rena rozplakała się. Sławek rozłożył się: — Place mi jeszcze potrzebne... — Lecz potem przypłynęło współczucie. — Czyżbym był taką świnia i odszedł, gdy ona potrzebuje pomocy? Przeproszał i błagał, by mu wierzyła. Przysięgał, że jeszcze raz pojedzie do Wilanowa prosić rodziców o pozwolenie.

I rzeczywiście w domu postawił sprawę jasno: chce się żenić i prosi rodziców, by wyrazili zgodę. Rozmowa była o wiele ostrzejsza niż poprzednia. Matka zorientowała się, że zamiar syna jest poważny. A to drugotąło jej plany życiowe. Myślała tylko o Sławku. Co ja obchodzi jakaś tam Rena? „Nie dopuszczę” — oświadczyła kategorycznie. Prosiła, błagała, groziła: nie nie pomoże, nie da ani grosza, niech zdychają! „Masz skrupuły? Dziecinna! Nikt ci w życiu nie pomoże, zdany jesteś na siebie, myśl przede wszystkim o sobie. To samo radzę Renie”.

Podczas parogodzinnej drogi do Sopotu Sławek rozważał wszystkie racje. W rozmowie z Reną był już zdecydowany: „Nie możemy się poobrać, Renuśka. Przed nami lata ciężkich studiów, przed nami życie! Po co mam to wszystko tracić? Nie mam pieniędzy, mieszkania, a rodzice nie pomagają! Ja chcę się u-

czyć, chcę żyć! Nie chcę się wiązać. Sama to powiedziałaś, że nie jesteśmy dziećmi... idźmy swoimi drogami...”

Rena słuchała z przerażeniem. Nie spodziewała się takich słów po ostatniej rozmowie. A więc koniec... a co z dzieckiem? Czy on pomyślał o dziecku?

— Są sposoby... ostatecznie dziecko można gdzieś stracić... albo oddać komuś...

Rena długo myślała tego wieczoru i w ciągu następnych dni. Przypatrywała się uważnie Sławkowi, który po bezskutecznych próbach znalezienia chętnego lekarza pogodził się z myślą urodzin dziecka. Czy go dobrze znam? — Pytała się siebie setki razy. Bywały momenty, kiedy ogarniało ją przeczucie, że most łączący ją ze Sławkim — wali się. Pękają wszystkie przesła. Czyżby Sławek mnie nie kochał? Dlaczego w takim razie nie mówi otwarcie? Potrafię to znieść. Ale Sławek tego nigdy nie powiedział. Dlaczego w takim razie nie postępuje jak mężczyzna?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

W parę dni później Wdewscy przyjechali do Wilanowa. Rozmowa przy stole była sztynna. Stary Barański próbował co prawda rubasznie lekceważyć całą sprawę: — No cóż, winy syna nie widzi. Młodość musi się wyszumieć. Co tu dużo gadać, każdy mężczyzna ma potrzeby... to takie prawo. Sławek trafił na pańską córkę, panie Wdewski, mógł trafić na inną! A może to nie jego dziecko? Barańska odparowywała ostro: — Rena nie jest byle kim. Moze zresztą rzucić studia, wychowywać dziecko.

Wdewski zaciskał pięści. Żal i wściekłość mieszały się z bólem: — A pan, panie Sławku, co pan powie?

Radz coś, ja tak przecież żyć nie mogę... Sławek zaprowadził ją do domu. Nakarmił i pojechał: — Nie możesz tu być, gdy matka przyjdzie. Co do twojego ojca, to niech przeczucie. Ale radzić musisz sobie sama... coż mogę ci pomóc?

poczuł lekkie klucie serra. Osłabienie zwolna mijało, ale Sławek chwycił się choroby jak ostatniej deski ratunku...

...W oznaczonym dniu ślubu Sławka zabrakło. Dosłownie oszalały z wściekłości Wdewski pocią

„Stronica życia”

JANINA LUDAWSKA



„Stronica życia” — W. Rozowa, Tadeusz Janczar (Bogatyrów) i Maria Janecka (Natasza). Foto COPIA

Czas już o tym pomyśleć

(Przed Festiwa'em Młodzieży i Studentów w Warszawie)

JERZY TIMOSZEWICZ

Czy wiecie, jak wygląda flaga Boliwii? Nie? Trzy poziome pasy: środkowy złoty, górny czerwony, a dolny zielony. Opisuję z pamięci. Stolica Boliwii? Ilość mieszkańców? Jezyk? O tym nie powiadać nie potrafisz bez zaglądania do encyklopedii. A niemal wszystkie flagi świata znam na pamięć dlatego, że kiedy miałem 12 lat, ogarnęła mnie namiętna pasja malowania barw państwowych wszelkich możliwych narodów. Trwało to tylko rok, ale za to do dziś jestem znakomitym specem w tej dziedzinie.

Lecz dajmy spokój flagom. Powiedzmy sobie szczerze, co przeciętny obywatel Polski Ludowej w wieku lat 16—25 wie o języku, kulturze, czy historii Boliwii, Brazylii, Libarii, Sjamu lub nawet Hiszpanii, Norwegii czy Szwajcarii. Nic albo prawie nic. Więcej wiemy o narodach uchodzących w skład państw obozu pokoju, dzięki łączącej nas z nimi wymianie kulturalnej i naukowej. Bo przecież wiemy o innym kraju nie zdobywamy tylko na lekcji geografii czy na odczytach. Rzeczywistą wiedzę, bogactwo, ciekawostki daje nam film, książka, sztuka teatralna i interesująca reportaż. Ale najbardziej pamiętne, najcenniejsze źródło wiedzy o świecie — to zawsze żywy człowiek. Bezpośredni kontakt z przedstawicielem innej narodowości, choć może nie da nam pełnego, bogatego w fakty i liczby obrazu jego kraju — jest niemal tak cenny, jak najpiękniejsza forma poznawania świata — podróż.

Tę ostatnią formę „nauki geografii” zastępują wobec Polski uczestnicy światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, a tę poprzednią — poznanie narodu poprzez jego przedstawicieli — będziemy stosować wobec nich my i oni wszyscy między sobą.

Mówiliśmy wyżej o naszej ignorancji. Teraz odwróćmy sytuację. Przecież znajomość naszej ojczyzny jest często niżej najprymitywniejszego poziomu i to nie tylko w Azji, czy Ameryce ale i w Europie. Można przypuszczać dziesiątki autentycznych anegdot na ten temat, a ignorancja ta obejmuje wielu ludzi i to różnych klas, o różnym wieku i poziomie wykształcenia. Odpowiedź, że to niemożliwe, „le” przecież w ostatnim dziesięcioleciu rola Polski na arenie międzynarodowej ogromnie wzrosła, że kraj nasz dzięki swemu ustrojowi wzbudza przyjaźń i zainteresowanie milionów ludzi pracy, że polscy pisarze przedzierają się przez dżunglę Wietnamu, że „Mazowsze” odnosi sukcesy w Chinach, Paryżu, że UNESCO uczci Mickiewicza, że Konkursy Chopinowskie, że... Wszystko to prawda. Na pewno świat wie o nas więcej i lepiej niż przed 15 laty.

Ale goszcząc w sierpniu 36 tysięcy naszych przyjaciół z całego świata musimy pamiętać o tym, że w krajach kapitalistycznych, a zwłaszcza w kolonialnych, szkoła, nawet podstawowa — obejmuje tylko część młodzieży. Ze przyjeździe do nas młodzież o różnych poglądach, a wśród niej będą tacy, co po raz pierwszy nazywają „Warszawą” — czytają na swoich bliznie kolejowych. Musimy pamiętać o tym, że młodzi twórcy, młoda postępową inteligencja krajów kapitalistycznych jest często zdana tylko na „informację” swojej prasy o naszym życiu, naszej kulturze: że burżuazyjna nauka i szkoła kształtowały się i okazywały w okresie, gdy Polska nie miała samodzielnego bytu państwowego, a nasza rewolucyjna walka narodowo-wyzwoleńcza nie mieściła się w kapitalistycznym obrazie świata. To do dziś jeszcze cichy na nauce tych krajów i dlatego na próżno szukamy Mickiewi-

Mówi się u nas o potrzebie teatru dla młodzieży. Pisano na ten temat w prasie młodzieżowej, dyskutowano w gabinetach dyrektorów CZT, interesuje się tą sprawą Zarząd Główny ZMP. Ale jak to często niestety bywa — w teoretycznych rozważaniach o tym, co być powinno, zapomina się o już istniejących próbach rozwiązania tej kwestii, nie analizuje ich, nie reaguje na nie. Teatr Nowej Warszawy, który przechodził już różne koleje, ma w swoim dorobku „Poe-mat pedagogiczny” i „Młodość oj-ców”, a od roku stara się kształtować swoje oblicze jako teatr „młodych dla młodych” skupiając w swym zespole przeważnie młode pokolenie aktorskie i dzieląc do niedawna scenę z warsztatami PWST.

Teatr młodzieżowy to sprawa nie tak prosta. Wiele trudności przysparza w pierwszym rzędzie repertuar, a szczególnie repertuar współczesny. Słuszne bowiem jest założenie, że bez współczesnych sztuk, bez poruszania spraw, które nurtują naszego widza teatr istnieć nie może. Szczególnie dotyczy to teatru, którego widownię zapelniać powinno przede wszystkim młode pokolenie. Gdzie jednak znaleźć sztuki mówiące głównie o sprawach młodzie-

skiego (premiera w maju, w Pałacu Kultury i Nauki) a jeszcze in spe „Kordian” w Narodowym. Z Fredry można będzie pokazać „Me-za i żonę” i „Zemstę” (o ile będzie miał dość nad nią dyr. Aze). Konieczne trzeba pokazać naszym gościom „Niemy” i „Juliusza i Ethel”. Teatr Nowy z Łodzi pokazałby cenne przedstawienie „Łaźni” Majakowskiego. Opera Warszawska wniesie do repertuaru festiwalowego przede wszystkim „Halke” i „Romea i Julia”. A jeszcze zapremiera „Lorenzaccio” Musseta w Polskim, Turgieniew w Kameralnym, Merimée we Współczesnym, uszowień „Cyda”, a może krakowski spektakl Brechta „Kaukas-kie kredowe koło”. Żeby tylko te uroły.

Konieczne jest przygotowanie zawczasu odpowiednich (co najmniej w czterech językach) programów z przedstawień wchodzących w skład repertuaru festiwalowego. Programy te powinny zawierać oprócz streszczenia sztuki i zdjęć — elementarne wiadomości o polskim teatrze, jego dziejach i upowszechnieniu.

I jeszcze jedna sprawa, już nie o tak dużym zasięgu, ale również ważna. Przedjedzie na Festiwal młodzież różnych zawodów. Będą wśród nich na pewno młodzi ludzie teatru: reżyserzy, aktorzy. Konieczne jest przydzielenie im takiego tłumacza — opiekuna, który będzie się orientował choćby średnio w sprawach polskiego teatru, bo one będą głównie interesować naszych gości. Ponieważ „guide’owie” festiwalowi będą się rekrutować głównie spośród studentów filologii, można przypuszczać, że odpowiednich tłumaczy znajdzie się niewielu. Warto by wówczas pomyśleć o „uzupełnieniu” tłumacza któryś z młodych reżyserów, krytyków czy aktorów.

Mamy jeszcze sporo czasu na do-kladne przygotowanie teatralnych spraw Festiwalu. Ale trzeba już zacząć pracę. Opłaci się nam ona stokrotnie, jeśli choćby drobną część polskiej sztuki doniosą we wspomnieniach dziewczęta i chłopcy do najdalejzych stron świata. Może właśnie te młodzieńcze wspomnienia będą w przyszłości fundamentem współpracy i przyjaźni z Polską?

*

Przy okazji pragnę zaproponować, by Biuro Festiwalu wzięło za jedno z haseł — przewodnich myśli Festiwalu — przetłumaczone na wszystkie języki świata piękne zdanie Goethego: „Czy może być coś piękniejszego niż młodzież, która by się zebrała ze wszystkich stron świata, aby się mocniej związać dla sprawy dobra?”. To zdanie powinno być mottem wszelkich komunikatów, odezw, apelów i uchwał Festiwalu.

OD REDAKCJI. Artykuł został złożony w Redakcji jeszcze przed ukazaniem się w prasie wiadomości o udziale Teatru Polskiego, Opery Warszawskiej i Filharmonii Narodowej w imprezach artystycznych Festiwalu. Ograniczenie tego udziału do dwóch tylko teatrów jest podyktowane koniecznością dostarczenia licznego impromu festiwalowemu sal teatralnych. Wydaje się nam, że nie powinno to być przeszkodą dla liczejszych występów teatrów polskich. Nie muszą one grać codziennie. Imprezy festiwalowe będą przecież rozporządzać poza tym licznymi estradami i salami wszystkich teatrów przed południem. Można dyskutować udział scen pozawarszawskich, ale wydaje się nam, że powinien grać Teatr w Pałacu Kultury i Teatr Narodowy. Ten ostatni ze względu choćby na nową inscenizację znanego na całym świecie dramatu Laureata Nagrody Stalinowskiej — Leona Kruczkowskiego pt. „Niemy”,

ży i to dzisiejszej, powojennej? Powiedzmy sobie otwarcie — dotychczas nie ma ich u nas, a w każdym razie nie przebyły drogi do biurka pisarza na scenę czy na półki księgarskie. Operować wyłącznie prze-róbkami powieści nie można, a i te, choć doczekały się u nas ciekawej realizacji filmowej, na scenę nie trafiły i wiele tu na pewno pozostaje miejsca dla inwencji i pomys-łowosci kierowników młodzieżowego teatru.

Teatr Nowej Warszawy nie chce rezygnować z pokazania na scenie spraw młodego pokolenia sięgnął do dramaturgii radzieckiej i wystawił sztukę Wiktora Rozowa — „Stronica życia”. Mowa w niej o rzeczach powszednich. Nie ma tam konfliktów wstrząsających całą istotą widza, nie ma spraw, które nie dawałyby spać po nocach i wymagały rewizji całego własnego życia i postępowania. Konstancy Pu-ryna nazywa ją w programie przedstawienia „szuką o nowym Oświe-ceniu”. To chyba zbyt pretensjonalne w stosunku do dużo skromniejszego założenia Rozowa. Prawdą jest jednak, że panuje w niej nowy duch właściwy już radzieckiemu społeczeństwu i coraz bardziej u nas powszechny: duch młodości, która nie z wieku płynie, a z prze-swiadczenia, że człowiek nie ma swego „pułapu”, że zawsze może się uczyć, iść naprzód, coś nowego stworzyć. Stąd świeżość sztuki i jej urok, który pozwala zapomnieć o słabościach dramatycznych, wta-łe zbudowanym konflikcie i słabo rozwijającej się akcji. Stąd sympatia, jaką budzą jej bohaterowie.

Jest niewątpliwą zasługą teatru, że potrafił wyłuskać w sztuce to, co w niej jest wartościowego i stworzył spektakl ciepły, serdeczny, pełen humoru, spektakl, który ogląda się z przyjemnością.

Stanisław Bugajski dokonał w tekście sztuki skrótów, które wpłynęły na większą zwartość jej konstrukcji. Akcja toczy się wokół jednego zagadnienia: wszyscy w tej sztuce, młodzi i starzy decydują o swojej przyszłości, a właściwie o drodze swego dalszego rozwoju.

Jedną jeszcze sprawą została słusznie wydobytą przez teatr: bohaterowie sztuki Rozowa interesują się również żywo rozwiązaniami zagadnień życiowych swojego otoczenia, jak i swoich własnych. Ten codzienny udział w sprawach innych ludzi, udział bezinteresowny, a niemniej gorący, zainteresowanie czynne, a nie obserwatorskie jest nowym momentem w stosunkach między ludźmi, w ich przyjaźni i miłości.

Pokazanie go w przedstawieniu tym bardziej trzeba zapisać na dobro reżyserii i aktorów, że postaciom sztuki zarysowanym szczerze potrafili oni dodać krwi.

Przed wszystkim dotyczy to Heleny Buczyńskiej — Jelizawieży Maksymowny Pawłowej, starej nauczycielki, która do ostatka broni się przed poruczeniem ukończonego zawodu. Gdy jednak przejście na emeryturę staje się ze względu na stan zdrowia konieczne, ta szlachetna

kobieta, wzorowy pedagog, nie daje za wygraną: zajmuje się pisanem książki o swych wieloletnich doświadczeniach, aby przekazać je tym, którzy tak jak i ona pragną kształtować „nowego człowieka, człowieka do którego należy przyszość”.

Buczyńska gra kobietę przeszło siedemdziesięcioletnią, której trudno się poruszać — nogi odmawiają posłuszeństwa. A jednak jest ona pełna życia, jest motorem postępowania innych ludzi, pomaga im swoją mądrością. Nie jest łagodna, raczej zaczepna i pełna dowcipu, ostrym i nierzadko ironicznym słowem, za którym kryje się dobroć i wyrozumiałość, uczę młodych wielu prawd o życiu i bez mentorstwa kory: je ich błędy.

Młodzi — odwrotnie. Reagują emocjonalnie, porywami. Największym atutem Janczara i Michnikowskiego w rolach Borysa Bogatyriowa i Kostii Poletajewa jest ich szczerość, prawda przeżywania, która udziela się widowni. Tadeusz Janczar swoiście przekazuje dążenia swego bohatera — Borysa, młodego, uzdolnionego robotnika, który posiada już wyrobioną pozycję w swojej fabryce. Jest on doskonałym praktykiem, lecz brak wykształcenia technicznego hamuje jego dalszy rozwój. Nie łatwo jest ambitnemu Borysowi wrócić na szkolną ławę.

W przedstawieniach „Stronicy życia” w Szkole — Studio MCHAT i w Teatrze Młodego Widza w Moskwie aktorzy obdarzyli Borysa większą surowością umotywowaną jego trudnym życiem. Był on bardziej kanciasty, zacięty. Janczar z entuzjazmem odnosi się do swej pracy, jest porywczy, wybuchowy i młodzieńczo nieporadny w wyrażaniu swych uczuć. Taka interpretacja strzeże postaci Borysa przed niebezpieczeństwami melodramatycznych nut. Pomogła mu w tym zresztą znakomicie Helena Buczyńska. Buczyńska jest przykładem tego, jak artysta dużej klasy i z dużym doświadczeniem grając razem z młodzieżą aktorską wzbogaca ją, podnosi rangę całego przedstawienia i własną interpretacją roli chroni swoich młodszych kolegów przed zbyt wielką latwizną. Jest w przedstawieniu scena, w której Jelizawieży Maksymowna rozmawia z Borysem o jego niełatwej przeszłości: Borys po śmierci rodziców został głową rodziny i nie mógł zadbać o własne wykształcenie.

Helena Buczyńska wyraźnie bieża go za to, że porównuje on siebie z przyjacielem, który ukończył już studia i z własną siostrą, która może teraz kończyć dziesięcioletnie właśnie dzięki jego, Borysa, postawie. Buczyńska mówi surowo, niemal ostro. Wszelkie nutki współczucia ze strony Jelizawieży Maksymowny skłoniły Borysa do zbyt ostrego rozkłamania się nad sobą.

Kostia Poletajew jest w wykonaniu Wiesława Michnikowskiego pełen humoru. Przechodzi on w sztuce największą ewolucję, a jed-

nocześnie pozostaje sobą. Michnikowski przetransponował humor Kostii na warszawski grunt i gwarowym akcentem, i sposobem zachowania. Staje się przez to bliższy naszej widowni, a jednocześnie nie wylamuje się ze sztuki. Humorem pokrywa rozgoryczenie z własnych niepowodzeń, z humorem pomaga Borysowi w poważnej sprawie powrotu do nauki, dyskretnie, po przyjacielsku opiekuje się jego rodzącym się uczuciem do Nataszy.

Natasza jest może zbyt kapryśna w wykonaniu Marii Janeckiej. Cecha ta pozbawia ją tej czystości uczuć jaka cechuje inne postaci tej sztuki: Anatola Siergiejewicza Tichonowa (Wojciech Zagórski) i Nadię Bogatyriową — młodszą siostrę Borysa — ze szczerą i prostotą zagraną przez Danutę Przesmycką.

Odmienne od pozostałych potraktowany został Mikołaj Aleksiejewicz Pawłow (Ludolaw Kozłowski). Jest to najsłabszy przez Rozowa narysowana postać, ale wydaje się, że należało postarać się raczej bardziej włączyć ją w nurt sztuki. Mikołaj Aleksiejewicz także „czegoś chce” w sztuce — stara się skłonić matkę, aby porzuciła nauczanie i napisała książkę o swych doświadczeniach pedagogicznych. Tak też się w końcu rzeczywiście staje. Jednakże dzieje się to poza Mikołajem Aleksiejewiczem. On zaś pozostaje w naszej pamięci tylko jako trochę zdziwaczliwy starszy pan, który bez celu snuje się po domu i z którym nie bardzo się licza.

Zinę — uczennicę gra mała dziewczynka oznaczona w programie trzema gwiazdkami.

Ta rola nasuwa sprawę jeszcze jednej trudności naszego przyszłego teatru dla młodzieży, a tym bardziej dla dzieci, gdzie takich ról na pewno będzie więcej. Systemem tzw. „autentyków” albo, jak to się mówi w teatrze, „cywilów” nie uda się ról tych obsadzić. „Cywile” będą zawsze odbiali od aktorów. Co gorsza — dziecko skrupowane za-traca nawet to co jest tak rozbijającym atutem wieku — wdzięk, urok. Potrzebni nam są aktorzy, którzy nie udając dzieci potrafia je grać. Danuta Przesmycka w roli podłotki — Nadii pokazała, że jest to możliwe. Potrzebna jest na pewno także umiejętność pracy reżysera z dziećmi na scenie, aby nie tracąc nic z czaru bezpośredności jednocześnie byli aktorami. Takie rzeczy nie rodzą się jednak z teoretycznych dyskusji. Wymagają praktyki, warsztatu, codziennej pracy.

Młody widz nie jest u nas niestety najczęstszym bywalcem teatrów. Trzeba go więc przyciągnąć, wezwać do dyskusji, posłuchać co myśli o tej sztuce, jakie inne chciałby w swoim teatrze zobaczyć. Trzeba za pierwszym krokiem zrobić następne. To jest zadanie kierownictwa samego teatru, ale też i tych, którzy teraz o scenie dla młodzieży dyskutują: ZMP, Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Oświaty. Zadane najbardziej słuszne postanowienia tych instytucji jeszcze teatru nie tworzą. Pielęgnowanie i czyszczenie krytyka tego, co powstaje — może się tu na coś przysiąść. Na pewno.

MARIAN

„MASZENKA”

„Maszeńka” Aflogenowa jest na pewno sztuką bardzo przyjemną, miłą. Sprawia to tytułowa bohaterka utworu, piętnastoletnia dziewczynka, której autor nie poskapił wewnętrznego ciepła, szczerości i radości życia. Dlatego to umiemy ona widza od pierwszych scen, absorbuje go i co ciekawsze — nie pozwala słabe strony sztuki. Tylko bowiem uroczą postać Maszeńki sprawia, że uchodzą naszej uwadze wady dramatyczne utworu, że wlokąca się akcja, która rzadko obfituje w ciekawskie konflikty, jest dla widza lekkostrawna.

Przy tym wszystkim Maszeńka nie jest — jakby się to może wydawało — główną nosicielką problematyki sztuki. Przeciwnie, odgrywa ona rolę podręcznika, ograniczając się do sprowokowania wewnętrznego przemiany właściwego bohatera sztuki — prof. Okajemowa. Do zrozumienia przez niego pewnych spraw i zajęcia właściwego stanowiska wobec życia ogranicza się też skromna wymowa utworu.

Główny problem „Maszeńki” ma charakter wyraźnie dydaktyczny. Profesor Okajemow, wielki uczony, znany w kręgach naukowych na całym świecie, przez całe życie oddawał się badaniu pergaminów. Nie przypuszczał, aby było poza tym coś bardziej interesującego. Do życia domowego, rodzinnego nie przykładał większej wagi. Na starość, spokojną, twórczą pracę zakłada mu nieoczekiwanie wnuczek po zmarłym synu — Maszeńka. Swym wdziękiem, prostotą, podbija ona — choć nie bez trudności — serce dziadka. Okajemow przywiązuje się do wnuczki, która wnosi do pustej i ponurej pracowni uczynnego nieznanego nam dotąd ciepła, promień rodzinnego szczęścia. Zainteresowanie Maszeńką staje się coraz głębsze, poważniejsze. Kiedy wreszcie wnu-

czka zaczyna osiągać sukcesy w szkole muzycznej i proponują jej publiczne koncerty — Okajemow wie, że ta przedwczesna sława jest poważną groźbą dla rozwoju talentu Maszeńki, dla jej przyszłego ży-

cia. Postanawia zająć się wychowaniem wnuczki, nawet wbrew woli jej matki.

Zrozumienie przez każdego człowieka doniosłości wychowawczego oddziaływania na młode, dojrze-



„Maszeńka” — A. Aflogenowa w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Irena Szymkiewicz (Masza) i Danuta Korycka (Wiera). Foto Z. Mozer

W pokoju jest ciemno i trochę nudno. Dwaj sąsiedzi z lewej czytają do spółki postrzępionego Doyla, a ten na dole śpi. Romkowi spać się nie chce, do ćwiczeń już się przygotował. Do kina też niewielki sens — na dworze śnieżyca a przed kinem stumetrowy ogon. Powoli zwiesza nogi ze swego pięterka i przez chwilę wiośtuje nimi w powietrzu.

— Chłopaki, jakby się kto o mnie pytał, to jestem w świetlicy.

Dwa domy dalej, pod siedemnaszką, w dużej, jasno oświetlonej sali z kalekim pianinem w odległym kącie, króluje stół ping-pongowy. Heniek Muzyka dobija Staszka Przybule ostatnimi ściegami, póki wypełniają suche uderzenia od zetknięć piłeczki z raketką. Kilku kibiców z biologii dopinguje na przemian jednego i drugiego.

Po drodze do czytelnicy ROMEK zagląda do pokoju szachowego: no oczywiście! Hailingerowi tylko tu łóżko wstawić, a nie wychodziłby ani na chwilę. Zresztą na głos tego ROMEK nie wypowiedział, bo w pokoju panuje skupienie — a spróbowaliby szachistom przeszkodzić! Trwają właśnie przygotowania do turnieju o mistrzostwo klubu studentckiego, konkurencja jest mocna.

Według ROMKA najprzyjemniej jest w czytelnicy. Już od progu wita go przytłumiony rytm melodii jazzowej — Staszek Kasperski, ten w zielonej marynarce, właśnie złapał Monte Carlo. Aparat jest pierwszorzędny, duma klubu — „Stern”. Przy stolikach siedzą chłopcy przebiegający w stercie czasopism i gazet, pod oknem dwóch zawzięcie wymachuje „Nową Kulturą” dyskutując nad opowiadaniem Zawiejskiego.

Ale zostawmy ROMKA Brzuszkę, któremu udało się wyluskać ze sterty świeży numer „Szpilek” i zejśćmy o piętro niżej aby dokończyć oględzin klubu przy Kotsisa.

Zostały jeszcze cztery pokoje. O przeznaczeniu tego po prawej informuje mała tabliczka: „Gabinet marksistowski”. Tu studenci przygotowują się do zajęć z marksizmu. W podręcznej bibliotece można znaleźć każdą potrzebną lekturę, a w grubym zaszywie z dziwnym napisem: „Kwerendy” — wykaz literatury do poszczególnych zagadnień o tematyce marksistowskiej. Od czasu do czasu przychodzi do tego pokoju asystent, z którym można podyskutować, który wyjaśni trudniejszy problem.

Pokój po lewej posiada podobne przeznaczenie. Tu uczą się studenci różnych przedmiotów, pod warunkiem, że nie będą tego robili głośno. Pokój ma tę przewagę nad po-

ALEKSANDER MINKOWSKI



kojem w akademiku, że nikt ci nie będzie krzychał nad uchem, kusząco proponował udziału w partyjce brydża, lub wyśpiewywał „Cichą wodę”.

W trzecim pokoju rozlokowała się filijka Biblioteki Miejskiej z czterema sejkami bardziej i mniej ciekawych książek. Tu ruch jest wyjątkowo mały i kierowniczką filii mogłaby się spokojnie przespać.

A w czwartym pokoju mieszka kierownictwo klubu w osobie Staszka Niemca.

Staszek kładzie kawałek sklonny na pięćdziesiątka i oświadcza, że rzucił to wszystko na diabły, bo „kradną popielniczki, roboty jest kupa a z forsa krucho, i w ogóle...” Po chwili jest już jasne, że popielniczki muszą kraść, bo w pokojach nie starcza, roboty jest rzeczywiście dużo, ale on, Staszek, stąd się nie ruszy. Tu następuje uśmiech i potrząśnięcie czarną czupryną.

— A kłopotów to nie brak. Na przykład fundusze. Dawniej opiekował się nami Zarząd Ośrodków Akademickich i było kieszko. Teraz troszkę o nasz klub przejął Uniwersytet a lepiej nie jest. Na czasopisma przyznano miesięcznie 30 złotych. Na szczęście gdzieś tam zaszło nieporozumienie i przysyła nam dużą ilość czasopism i gazet — nie wiadomo skąd i od kogo. Cóż, czytelnia przyjmuje a chłopcy się cieszą. Albo chcemy urządzić turniej ping-pongowy a funduszu na nagrody — nie mamy.

Ale to nic, przecież rozkręcają się dopiero, nabierają rozpędu. Właśnie w tych dniach ma się odbyć walne zebranie mieszkańców osiedla akademickiego, na którym będzie rozpatrywana sprawa klubu — jego zalet i braków. Będzie się mówić o tym wszystkim, co by chcieli studenci wprowadzić do swego klubu, aby stał się jeszcze miłszy, bliższy, potrzebniejszy. Wszystko to zostanie uwzględnione w przyszłej pracy klubu.

— I teraz jest przecież nieźle, sporo kolegów przychodzi w szachy pograć, w ping-ponga, pouczyć się albo pisma poczytać. Najlepiej będzie jak przyjdziecie na to nasze

zebranie. Wtedy najlepiej się zorientujecie.

Zebranie nie należało do typu pasjonujących. Najczęściej zabierała głos kierowniczką biblioteki, narzekając, że ma tylko 4 czytelników wymieniających książki co dwa tygodnie, że nowości jest rzeczywiście bardzo mało, bo Biblioteka Miejska... itp.

Sala rozpadła się dopiero przy sprawie — brydża. Bo rzeczywiście, gra się w pokojach, prawie w każdym. Jedni chcą się uczyć, inni grać. Przeszkadzają sobie wzajemnie. A gra jest bardzo ciekawa, nawet Putrament bierze ją w obronę. Więc co?

Wtedy Wojciechowski, przewodniczący rady mieszkańców, wysunął projekt, aby przeznaczyć kilka stolików w klubie — dla brydżystów. Oczywiście pod warunkiem, że będzie się grać w brydża a nie na przykład w pokera, i że nie na pieniądze. Projekt przyjęto oklaskami. Pospały się inne wnioski — żeby zapraszać do klubu uczonych z pogadankami popularno - naukowymi, literatów, żeby zapraszać do siebie z koncertami studentów szkół muzycznych, żeby wieczorki taneczne urozmaicać humorem, wesołymi konkursami...

— Lubimy nasz klub, jesteśmy do niego przywiązani — mówił Wojciechowski na zakończenie zebrania — tu najchętniej spędzamy wolny czas...

Wyszedłem z klubu jakoś niezapokojony — czułem, że tu jednak czegoś brak. Ale czego?

Przypadkowo dowiedziałem się, że w osiedlu studentkim przy Kotsisa mieszka mój dobry kolega, z którym byłem przez miesiąc na kursie w Gdyni. Wieczorem znalazłem wolną godzinę aby go odwiedzić.

— Władek? — koledzy w pokoju uśmiechnęli się. — Poszedł ze swoją panną gdzieś potańczyć. Licho wie gdzie ich poniosło. Może są w „Wuzetce”, a może gdzie indziej.

Widz wierzy również w jej subtelnie ukazaną przemianę wewnętrzną. Bardzo miło jest pisać o młodym talencie, kiedy można dostrzec oznaki jego rozwoju. Irena Szymkiewicz, absolwentka warszawskiej PWST, którą widziałem w „Balladynie” w Teatrze Nowej Warszawy, dowiodła, że nie tylko potrafi być żywą, ruchliwą aż do akrobacji Skierki, ale również skupioną, opanowaną w ruchach, przemilą Maszenką.

Wyjątkowo trudne zadanie miał Juliusz Berger odtwarzający Wiktora. Postać ta przechodzi dość nagle i nieumotywowaną metamorfozę. Z młodego, zakłamanego już poważnie poszukiwacza miłosnych przygód staje się Wiktor częściowo pod wpływem organizacji konsomolskiej, częściowo zaś dzięki perswazjom „nawracającego się” ojca stu procentowym pozytywnym bohaterem. I to w ciągu bardzo krótkiego czasu. Berger usiłował swymi bogatymi środkami wyrazu utrudnić podobnie tej zmianie, co mu się w części udało. Z dużym mniejszym natomiast powodzeniem starał się ożywić postać jego ojca dr Tumańskiego — Mieczysław Dembowskiego.

W roli Leonida Borysowicza widziałem Tadeusza Skorutskiego (występuje w tej roli także Stanisław Jaskiewicz). Nie wiem czy optymizm i entuzjazm postaci Leonida można najlepiej wyrazić przez rozłargnienie i żywiołowy temperament, jak to robił Skorutski. Były to przede wszystkim efekty. Były zawsze poparte wewnętrznym przeżyciem, spływające trochę postaci sztuki.

W rezultacie wrocławskie przedstawienie „Maszki” można uznać za udane, a trud reżysera za pożyteczny, bo wzbogacający nasze spektakle młodzieżowe o miłą i niepozabawioną wartość pojęć.

Było mi przykro, bo tego wieczoru miałem wracać do Warszawy i już się z Władkiem nie zobaczę. Ale nie dlatego o tym piszę.

Pomyślałem wtedy: „Dlaczego Władek nie poszedł ze swoją dziewczyną do klubu? Tam łatwo bym ich spotkał. Ale cóż by oni robili w klubie? Przecież chcieli potańczyć, może zjeść ciastko, napić się kawy. A w klubie mogliby, owszem, zagrać w szachy, poczytać „Szpilek” albo radia posłuchać co najwyżej. Więc nic dziwnego...”

I wówczas zrozumiałem czego mi brakowało w klubie przy Kotsisa. Nie było w nim tej intymnej, domowej, powiedziałbym, atmosfery, kątka, w którym można by pogadać, posiedzieć z dziewczyną, zatańczyć gdy przyjdzie ochota, albo zjeść ciastko.

Przyjemnie jest w tym klubie. Lubią go szachiści i miłośnicy rakietki, można tam i radia posłuchać i przeczytać gazetę. Ale Władek chciał zatańczyć z dziewczyną, porozmawiać z nią, uśmiechnąć się do niej serdecznie. Na to w klubie przy Kotsisa miejsca nie przeznaczono. Więc poszli do osławionej we Wrocławiu „Wuzetki”, gdzie wieczór we dwoje uszczęknęli Władkowi sporą część stypendium.

I tak już jest, że jeśli jakaś okazja — imieniny, spotkanie przyjaciół, albo randka z dziewczyną — kuje się do „Wuzetki” albo do „Artystycznej”, gdzie trzeba sporo zapłacić, ale można za to wypić lampkę wina, potańczyć, poszeptać na ucho i wymienić uśmiech, czuć wokół siebie tę specyficzną atmosferę zabawy, wesołego podniecenia, może nie taką zupełnie zdrową, młodzieńczą atmosferę, ale zawsze...

Studentom, gdy na zebraniu zastanawiali się nad wnioskami do działalności klubu, nie przyszło na myśl, że przecież u nich można by zorganizować coś takiego — jakąś salę z radiem, adapterem, kilkoma stolikami, bufetem, w którym można dostać kieliszek wina, ciastko, filiżankę kawy. A przecież znalazłby się na to sala, jest radio i adapter, WZG zgodziłoby się utworzyć bufet.

Może zresztą przyszło to komuś na myśl, tylko nie miał odwagi wypowiedzieć — zakrzyzcza, powiedzą, że to już przesada. Na pewno nie byłoby przesadą, gdyby Władek ze swoją dziewczyną mógł przyjdź do klubu, nastawić płytę z pięknym tangiem i zatańczyć, usiąść przy stoliku, zamówić dwie małe kawy i dwie napoleonki. Byłoby stokroć przyjemniej niż w „Wuzetce” — przecież wśród swoich, bardziej wesoło i młodzieńczo, bardziej ciepło. No i na pewno taniej.

Studenti lubią swój klub, zachodzą doń od czasu do czasu. Ale zachodziliby o wiele częściej, gdyby mogli w nim znaleźć tę właśnie intymną i ciepłą, wesołą atmosferę, której często daremnie szukają w lokalach. O to naprawdę nie trudno. I w klubie przy Kotsisa i w wielu innych świetlicach studentkich.

(Dokończenie ze str. 1)

— Jeżeli powieść mobilizuje do walki, możemy za to tylko pogratulować tow. Wróblowi — stwierdził tow. Niedzielski.

— Jakże będą losy literatury — zapytał tow. Chamot — jeśli zamiast sumiennej krytyki, będziemy urządzić w sposób paskudny próby sądu nad autorem?...

— Sama książka jest najlepszym obrońcą autora przed podłymi oszczerstwami — stwierdził jeden z dyskutantów.

Towarzysz Niedzielski nazwał „Inaugurację” „poetycznym papierkiem lakmusowym” dla Toruńskiego Uniwersytetu. Być może, że papierek ten nie działa tak doskonale i bezbłędnie na UMK jak w chemii, ale obserwując atmosferę zebrania i potok plotek, który je poprzedził, trzeba powiedzieć, że porównanie jest właściwe!

W sposób spokojny, a bardzo rzeczowy odpowiadał oskarżycielom młody naukowiec, polonista — tow. Rogowski. Mówił on o tym, że jest zdumiony stanowiskiem tow. Cieślaka. On sam w czasie, który opisywał pisarz był studentem UMK i

JANUSZ ODROWĄŻ-PENIAŻEK

Zdarzenia



Strach

Jin S., bogaty przemysłowiec, kładąc się spać, obok lampy i larki elektrycznej szykował przy łóżku świecę i zapalnik, które długo układał w ten sposób, aby trafić do nich pierwszym ruchem ręki. Fotem z przyjemnością oddawał swoje ciało miękkiej pościeli. Męczyła go zżeczność, nim więc usnął dużo jeszcze rozmyślał. Wtedy zawsze nawiedzała go myśl o nagłej śmierci. Prędko wówczas siadał na łóżku, zapalał światło i znowu układał zapalnik.

Trwało to przez kilkanaście ostatnich lat jego życia, aż pewnej nocy umarł tak nieszczęśliwie, że obudziwszy się na chwilę przedtem, zapadając się w nicość i łapiąc do płuc powietrze, nie namacał szukającą gwałtownie ręką ani zapalek, ani guziczka latarki, ani sznurczek elektrycznej lampy.

(1950)

Literaturze dwudziestolecia

Dziewczyna idzie po schodach z koszykiem na ręce. Na każdym piętrze spogląda w okno, przez które widać mgły nad Wisłą, dachy domów Powiśla i las, gdzie za Pręgą Dziewczyna wchodzi powoli, bo schody są strome i mają wiele zakrętów.

Aby dojść na wysokie piętro do brudnych drzwi, na które pada już promień słońca.

(1951)

Powój i dym

Pamięci poetów poległych w Powstaniu Warszawskim

Poezjo wiecznej grozy, zagubienia, walki, śmierci i pogardy. Opleciona powojem: zamarlała w upale sierpnioowego powietrza, wśród urzu walących się domów, pośród barykad wznoszonych na rozbitych tramwajach, w okopach wyłożonych płytami skruszonych chodników. Poezjo młodości umierająca od granatów i bomb — przysypały cię grzyzy wysadzanych w powietrze kamienia.

Niedaleko od Warszawy płynie rzeczka; jest tam duży staw z dwiema wyspami pośrodku, przy upuście młyn i mała elektrownia. Nie potrzeba było wchodzić na drzewo: posuwając kajak wśród rzęsy czułem dym palącego miasta.

Dziś uderzyła mnie boleśnie woń zleżającego papieru, gdy slegnąłem po książkę, w której zebrano cały dorobek jednego z was: otwieram ją coraz rzadziej, choć kryje wiele urzekających piękności. Współczesnym, a jednak młodszym o pokolenie, smuga mgły przesłania wasze twarze. Bo znamy rozpacz i ból, lecz znamy i kształt nadziei, jest liściem kutym w żelazie przeciwko czasom pogardy.

(1954)



Plon

Betonowy słup dążący ku górze, wmurowany głęboko w dno morskie, zakończony jest czerwonymi lampką, wskazującą po nocach drogę okrętom; podczas sztormów fale zalewają szklaną kulę, spod wałów wody lampka nieczęsto dostaje się na powierzchnię.

Zalewany — na długie nierzawie chwile — falami rzeczy mało ważnych noszę jednak w sobie ów słup cementu wmurowany na dnie, czerwona lampka, rozbliskująca raz po raz, świadczy o jego istnieniu.



Zwycięstwo

Napoczątku jest zawsze chaos i ciemność; ciężki głaz przytłacza głowę, unieruchamia myśli. Konieczność dokonania wysiłku, odwiekana z dnia na dzień, budzi uzasadniony pesymizm, paraliżujący wolę. Rozpoczęty w chwili nieoczekiwanej, bez nadziei, wysiłek nasz nie daje rezultatów — błądzimy w próżni. Dopiero jeden dzień potrafi zbudować tyle, że wiemy już: postąpiliśmy krok naprzód. Wtedy można obliczyć już dalsze kroki. Będzie ich dwadzieścia — i znikają szybko, choć okazuje się ich dziesięciokrotnie więcej. Doprowadzamy wówczas rzecz do końca — do kształtu kropki jasnej, podłużnej, szlifowanej jak diament.

nie wiedział, że doktor Cieślak miał dwoje dzieci co ma m. in. stwarzać rzekome podobieństwo między Stolarczykiem — bohaterem książki a tow. Cieślakiem. Znal natomiast towarzysza Cieślaka od jak najlepszej strony, od strony jego aktywnej pracy na uczelni.

W wypadku tow. Puciatowej nie ma nawet tych „obcych”, naturalistycznych zbieżności — czemu więc poczuła się Cibajtisową z „Inauguracji”?

W atmosferze plotek jakie rozwinęły się wokół wydanej książki towarzysze spodziewali się, że poważny towarzysz prof. Cieślak przetrze niezdrową sensację wypływającą w Toruniu ze środowisk jak najbardziej reakcyjnych. Tymczasem tow. Cieślak sam pogłębił jeszcze tę atmosferę ustosunkowując się do powieści w sposób bardzo niepoważny.

Następnie tow. Rogowski mówił o typowości w literaturze i o prawach przysługujących pisarzowi. — Nie ma chyba utworów literackich — stwierdził, które by nie miały prototypów.

Że książka opisuje typową w danym czasie sytuację na naszych u-

czelniach, niech świadczy fakt, który podał tow. Kasjan, że w Krakowie po przeczytaniu „Inauguracji” zaczęto się doszukiwać tam osób i sytuacji jakie istniały na uczelniach krakowskich.

Na zakończenie dał tow. Rogowski dość gruntowną analizę artystyczną książki, wskazując na jej zalety i niewątpliwie ogromne braki.

Upartym, którzy jeszcze po wypowiedzi tow. Rogowskiego dopatrywali się w bohaterach negatywnych książek ludzi żyjących w Toruniu, którym autor wyrządził złośliwie krzywdę — odpowiedział anegdota redaktor „Gazety Pomorskiej”:

W Petersburgu przed pierwszą wojną światową szedł po ulicy pijany i krzyczał: *durak! Koko durak!* Został aresztowany i skazany na długoletnie więzienie za obrazę cara. Gdy tłumaczył się, że wołając po pijanemu, nie miał na myśli cara, odpowiedziano mu: *my znamy kto durak!*

T. S. CHESZCZYK

KUSA

E N K A

jące pokolenie — oto główna myśl, którą stara się przekazać w artystycznym obrazie Afanogenow. Można byłoby na siłę doszukiwać się w „Maszenke” próby konfrontacji dwóch postaw, dwóch filozofii życiowych. Prowokuje do tego postać Leonida Borysowicza, młodego entuzjasty, który potrafi połączyć pracę naukową z wysiłkiem pełnej radości, jakiej dostarczyć może życie prywatne. Leonid Borysowicz jest przeciwieństwem prof. Okajemowa, który przez większą część życia szukał szczęścia w książkach i starych pergaminach. Niektórzy przypuszczają, że postać Leonida wyraża poglądy autora. Takie jednak pdczytanie sztuki wydaje mi się mocno naciągane. Nie znajduję ono bowiem uzasadnienia w dramaturgicznej konstrukcji utworu. Zagadnienie przeciwstawienia starej, nieżywej postawie Okajemowa postawy Leonida Borysowicza jest artystycznie niedopowiedziane i wyraźnie znajduje się na marginesie utworu.

Natomiast główną, dydaktyczną myśl sztuki wzbogaca niejako i konsekwentnie podbudowuje poboczny wątek lekarza Tumańskiego i jego syna Wiktora. Ukazując wstępowanie kilkunastoletniego chłopca w ślady ojca łowelasa, dla którego uwodzenie kobiet stało się w pewnym sensie drugim zawodem przedstawia autor skutki tego. Nie wolno całego ciężaru wychowania młodzieży zwać na organizację — jak to czyni Tumański — ale zacząć od siebie i dobrać przykładem przyrzecznić się do kształtowania charakteru młodego człowieka.

W większości dotychczasowych inscenizacji „Maszenka” była zazwyczaj zupełnie odproblemowana. Slabe strony sztuki, o których wspominałem na początku: mała, niezbyt atrakcyjna myśl — wszystko to zniechęcało reżyserów do wy-

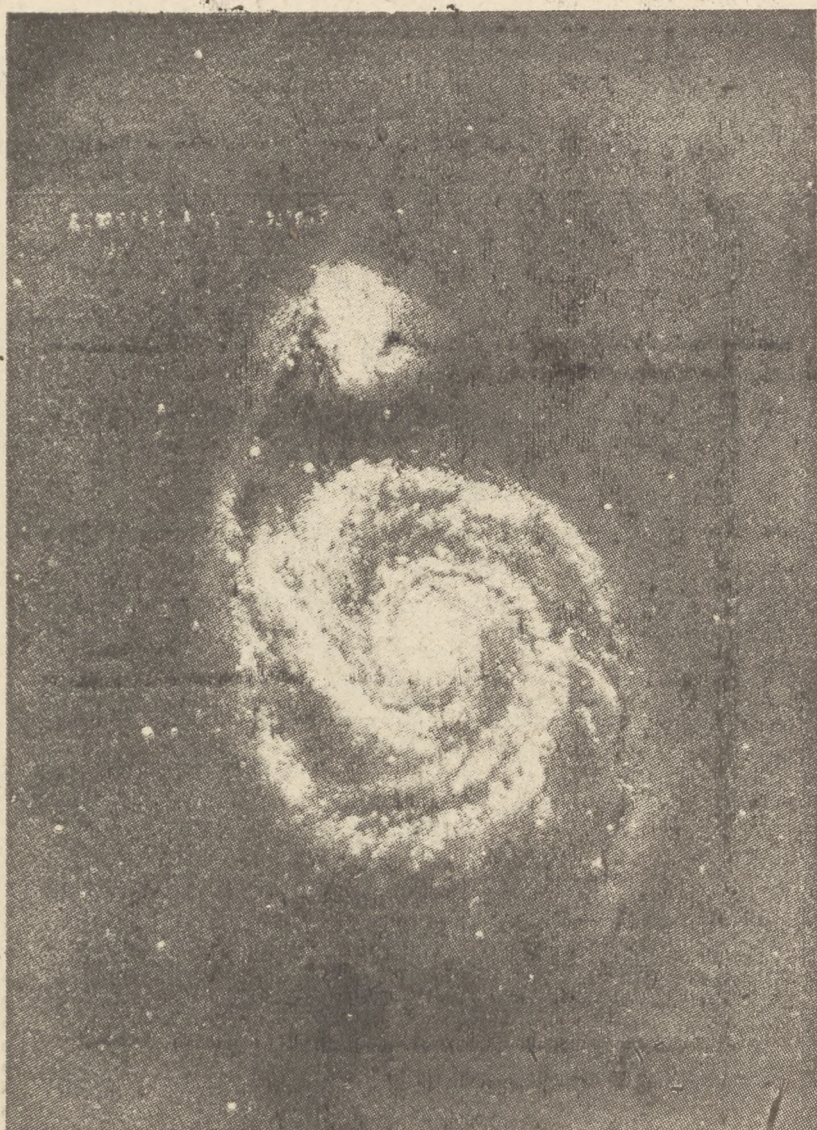
bicia na pierwszy plan problemu. Wyszukując humor sytuacyjny i dialogowy grano sztukę jako miłą komedię o żywej, wesołej dziewczynie i jej uczonym dziadku, zgrybiałym i pociesnym starszuku.

Gdy Szurmiej w poszukiwaniu sztuki o współczesnej, młodzieżowej problematyce wziął pod drapieżną „Tani” anemiczną „Maszenkę” nawiązało się pytanie: czy słusznie postąpił? Odpowiedzi dostarczył nam wrocławski spektakl.

Dobrze się stało, że reżyser w dążeniu do wypunktowania problematyki utworu, po uzupełnieniu tekstu z rosyjskiego oryginału, ograniczył się do wypowiedzenia skromnej i znanej, ale jakże u nas obecnie aktualnej prawdy, którą tak pięknie formułuje prof. Okajemow: „...Całe dziesięć lat studiowałem swoje pergminy, to było moim zawodem... ale nigdy się nad tym nie zastanawiałem, że być ojcem albo matką to też jest swego rodzaju zawód, tak, tak, drugi zawód każdego człowieka... I ten drugi zawód jest nauka, nie, jest sztuka wychowania nowego pokolenia obywateli. My zbyt często obarczamy tympanistwo. Oczywiście to znacznie łatwiej, niż myśleć i troszczyć się samemu...”

W wypowiedzeniu tej myśli pomogli walnie reżyserowi wykonawcy głównych ról, o których chciałbym jeszcze wspomnieć.

Dużym sukcesem Artura Młodnickiego jest stworzenia przez niego postaci prof. Okajemowa. Tekst sztuki daje bardzo skąpe informacje i wskazywki przydatne do wnikliwego opracowania tej roli. Toteż wielką zasługą aktora jest stworzenie przez niego postaci bardzo prawdziwej, której widz wierzy, że istotnie zajmowała się wyłącznie grzebaniem w pergaminach, chociaż na scenie ani razu tego nie robi.



Zaczę od pewnej dygresji. Mniej więcej przed rokiem przeczytałem następujące ogłoszenie w jednym z poważnych pism Wielkiej Brytanii:

„Grupa Filozofii Nauk Brytyjskiego Towarzystwa Historii Nauk przeznacza nagrodę w wysokości 40 funtów, dostępną dla wszystkich, za najlepszy szkic, o objętości nie przekraczającej 4.000 słów (przyjmowane będą również szkice krótsze) na temat:

Jaka jest sytuacja logiczna i naukowa koncepcji jednorazowego powstania i wieku wszechświata? (np. według ostatniej pracy kosmogonicznej). Szkic ma wyjaśnić aspekt logiczny, teoretyczny i obserwacyjny idei przypisującej wszechświatowi pewien wiek, dający się określić liczbowo...*)

Zdziwiło to mnie niezmiernie. Gdyby tego rodzaju konkurs ogłosiła jakaś organizacja teologiczna, jeszcze byłbym tu w stanie zrozumieć. Bo o cóż tu chodzi? Jeśli wszechświat powstał w jakimś określonym czasie, znaczy to, że przed tym go nie było. Nie było ani materii, z której ów wszechświat potem powstał, ani nawet czasu, ani przestrzeni... Jakże mogła materia powstać „z niczego”? Chyba jedynie dzięki bezpośredniemu udziałowi w tym siły wyższej. Krótko mówiąc konkurs żąda podania aspektu „logicznego, teoretycznego i obserwacyjnego” istnienia siły wyższej i faktu stworzenia przez nią świata tyle a tyle lat temu. Taki właśnie temat proponuje To w a r z y s t w o H i s t o r i i N a u k i? I to w kraju, który był ojczyzną Newtona, Faradaya, Maxwella i wielu, wielu innych wybit-

O „ucieczce galaktyk”

Prof. dr WŁODZIMIERZ ZONN

nych uczonych, twórców „współczesnej astronomii i fizyki... Pośród wielu interesujących i płodnych koncepcji tłumaczących znane od dawna zjawisko „ucieczki” galaktyk, wybiera się hipotezę najbardziej tendencyjną, apologetyczną Stary Testament i ją właśnie proponuje się obronić szerokim rzeszom czytelników, z zastrzeżeniem, aby to było krótkie, i przez to (jak to łatwo się domyślić) łatwe do propagowania...

W tym stanie rzeczy wydaje się konieczne podniesienie jakiegoś głosu protestu i uczciwe przedstawienie szerokim rzeszom naszych czytelników aspektu „logicznego, teoretycznego i obserwacyjnego” całego zagadnienia tzw. „ucieczki” galaktyk.

Naprzód kilka słów wyjaśniających. Galaktyki są to zbiorowiska gwiazd, liczące po kilka lub kilkadziesiąt bilionów gwiazd każde, widoczne z Ziemi w postaci bądź to plamek o kształcie eliptycznym (galaktyki eliptyczne), bądź też jako jasne małe plamki otoczone odnogami o kształcie spiralnym. Zgrupowanie gwiazd, do którego należy nasze Słońce (wraz z planetami i ich księżycami) ma również kształt spiralny i nazywamy je Galaktyką (przez duże G) w odróżnieniu od innych galaktyk spiralnych i eliptycznych, pisanych małą literą. Z powodu ich wyglądu kiedyś dawno nazywano je mgławicami pozagalaktycznymi, myśląc, że są to istniejące mgławice, a więc zbiorowiska pyłu i gazów. Później dopiero przekonano się, że są to „organizacje” gwiazd zawierające to wszystko co mamy również i w naszej Galaktyce: różne typy gwiazd i materię międzygwiazdową — gaz i pył. Dlatego później przemianowano je na „galaktyki”, jakkolwiek w wielu podręcznikach i pracach używa się dziś jeszcze starej nazwy „mgławice”.

W 1912 roku astronom amerykański Slipher badając widma kilku najbliższych nam galaktyk stwierdził, że w miarę jak przechodzimy do coraz to dalszych od nas galaktyk ich widmo wykazuje coraz to większe przesunięcie ku czerwieni, a więc w stronę fal dłuższych. Dalsze badania potwierdziły to odkrycie. Wszystkie dotychczas zbadane galaktyki są posłuszne na ogół temu prawu: im dalsza galaktyka, tym bardziej jej widmo przesunięte jest w stronę czerwieni.

Badając charakter tych przesunięć astronomowie zaczęli przypuszczać, że mamy tu do czynienia z oddalaniem się galaktyk od nas. Ponieważ przesunięcia widm są proporcjonalne do odległości znaczyłoby to, że i prędkości oddalania się galaktyk od nas rosną proporcjonalnie do ich odległości; taką bowiem interpretację narzuca nam tzw. zasada Dopplera znana od dawna w fizyce, w myśl której długość fali promieniowania ciała oddalającego się od nas z pewną prędkością ulega zwiększeniu proporcjonalnemu do tej prędkości.

Tak powstała myśl o „rozszerzającym się” wszechświecie, która wywodziła się z założenia, że „ucieczka” galaktyk jest jedyną interpretacją zaobserwowanych przesunięć widm. Zobaczymy później, że taka interpretacja nie jest jedyną i tym się różni współczesny pogląd na tę sprawę od poglądu dawnego.

Interpretowanie przesunięć widm jako „ucieczki” galaktyk oraz uogólnienie tego na dowolne odległości (postępowanie, które w zasadzie nie ma uzasadnienia „obserwacyj-

nego” i dlatego jest czymś dowolnym) doprowadziło do pewnych absurdów. Istotnie, jeśli przyjmujemy, że zależność proporcjonalna prędkości ucieczki od odległości jest zależnością uniwersalną, to dla dużych odległości otrzymamy prędkości oddalania się galaktyk przekraczające prędkość światła — rzecz nie do przyjęcia we współczesnej fizyce.

Przyjęcie pewnego najzupełniej dowolnego założenia, na pozór niewinnego, od razu usuwa ów absurd. Teoretycy przyjęli mianowicie, że masa ciał stanowiących wszechświat jest skończona. To brzemienne, jak zaraz się przekonamy, w konsekwencje filozoficzne i astronomiczne założenie — najzupełniej nieuzasadnione — stało się podstawą do pewnych spekulacji, stanowiących temat pracy konkursowej, o której wspominaliśmy na początku.

Ogólna teoria względności uczy nas, że zjawisko grawitacji należy interpretować jako zakrzywienie przestrzeni w pobliżu ciała posiadającego dużą masę. To zakrzywienie przestrzeni przejawia się w tym, że najkrótszą odległością pomiędzy dwoma punktami znajdującymi się w przestrzeni** zakrzywionej nie jest odcinek prostej, lecz odcinek krzywej o kształcie określonym masą ciała o dużej masie. To twierdzenie nie wzbudza na ogół sprzeciwów, ponieważ było wielokrotnie obiektem badań doświadczalnych, z których wyszło zwycięsko. Nie mamy zatem powodów do wyrażania tutaj wątpliwości.

Jeśli wszechświat ma skończoną masę (jak to dowolnie zakładali dawni kosmogoniści) to przestrzeń zawierająca tę masę musi być zamknięta! Taki słuszny wniosek wyciągnięto z niesłusznego założenia. Zatem wszechświat jest jakąś czterowymiarową nadkulą, o skończo-

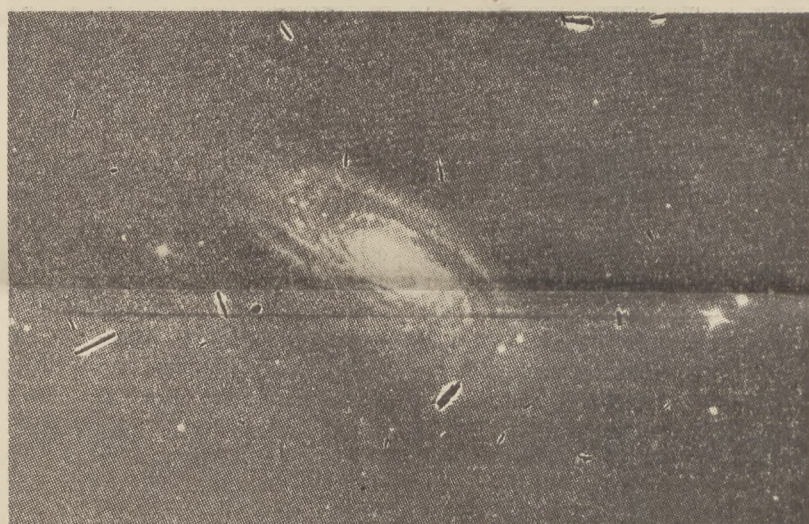
my do zarzucenia to właśnie, że przyjmuje dowolnie, iż masa wszechświata jest skończona. No i to, że jej wnioski są wprawdzie w zgodzie ze Starym Testamentem, lecz najoczywistej przeczą zasadzie zachowania materii (z której wynika, że materia nie może powstać z niczego). Przeczą zatem fizyce i chemii... Bagatel!

Przejdę z kolei do przedstawienia stanowiska kosmogonistów współczesnych, które nie jest jeszcze czymś ustalonym dlatego, że istotnie sprawa nie jest łatwa i zbyt pochopne jest stawianie jej raczej czymś szkodliwym.

Ci, którzy bardzo skrupulatnie trzymają się danych obserwacyjnych i są dalecy od ryzykownych uogólnień, przyjmują, że istotnie w naszym najbliższym otoczeniu w tej chwili ma miejsce ekspansja, czyli oddalanie się galaktyk od siebie, lecz że zjawiska tego absolutnie nie możemy uogólniać na cały wszechświat, ponieważ w jakimś sąsiednim oddalonym obszarze może nastąpić zjawisko odwrotne: kurczenie się galaktyk. Podobnie nie możemy tego zjawiska uogólniać w czasie i twierdzić, że ta ekspansja lub kurczenie się istniało zawsze... Należy zatem szukać jakiegoś rozsądnego, dynamicznego wyjaśnienia obserwowanego faktu w granicach oczywiście praw mechaniki.

Stosunkowo niedawno angielski astronom Freundlich wystąpił z inną hipotezą, tłumaczącą „mawiane zjawisko przesunięć widm galaktyk. Hipoteza ta wydaje się bardzo przekonawą.

Otóż promieniowanie odległych galaktyk, zanim dotrze do obserwatora na Ziemi, musi przejść przez ośrodek przestrzeni wypełnioną niewątpliwie promieniowaniem galaktyk otaczających, a zatem stanowiących to, co fizycy nazywają polem promieniowania, oddziałującym



nej objętości i rozmiarach. A że obserwacja widm galaktyk wskazuje na ich wzajemne oddalanie się, znaczy to, że ówa czterowymiarowa nadkula — wszechświat — znajduje się w stanie „pęcznienia” (ekspansji). Przyjmując pewne hipotezy obecne rozmiary tej nadkuli i znając prędkość jej pęcznienia można łatwo obliczyć przed ilu laty rozmiary wszechświata były równe zeru (zakładając oczywiście, że ta sama prędkość pęcznienia istniała dawniej). I oto dochodzimy w końcu do owej idei jednorazowego powstania wszechświata z czegoś co było matematycznym punktem, a zatem nie miało masy ani rozmiarów...

Oprócz pewnych dość ryzykownych uogólnień, koncepcji tej ma-

w jakiś sposób na skierowane ku nam promieniowanie danej galaktyki. Pole to, zdaniem Freundlicha, „osłabia” promieniowanie (pozbawia każdy kwant promieniowania pewnej części jego energii) i to wprost proporcjonalnie do drogi przebytej przez światło, a więc w pierwszym przybliżeniu do odległości badanej galaktyki od nas. Zatem zjawisko przesuwania się widm galaktyk bynajmniej nie wskazuje na ich „ucieczkę” lecz na obecność w przestrzeni międzygalaktycznej dość znacznego promieniowania, o czym zresztą wiedzieliśmy od dawna i od dawna już oszacowano wartość tego promieniowania. Musimy jednak tu zastrzec, że zjawisko oddziaływania pola promieniowania na dany promień (lub ściślej mówiąc jakiś wybrany kwant promieniowania) nie jest jeszcze dostatecznie znane ani ze strony teoretycznej, ani też doświadczalnej. Zatem wyniki ilościowe teorii Freundlicha są jeszcze kwestią otwartą, tak zresztą jak i cała jego teoria, opublikowana dopiero w zeszłym roku. Niemniej aspekt „logiczny, teoretyczny i obserwacyjny” tej koncepcji jest niewątpliwie bardziej naukowy niż koncepcji rzekomych „urodzin” wszechświata.

Ponadto koncepcja ta jest niewątpliwie płodna. Możemy wyciągnąć z niej różne wnioski dotyczące obiektów innych; możemy badać jej słuszność w naszym najbliższym otoczeniu, w którym często występują pola o bardzo dużej „zawartości” energii promienistej; pola te powinny wywoływać podobny efekt „poczerwienienia”, jaki obserwujemy w galaktykach. Badając więc widma gwiazd o bardzo wysokiej temperaturze, a więc promieniujących bardzo silnie, możemy wcześniej czy później sprawdzić słuszność teorii Freundlicha. Sama teoria wreszcie jest dość ciekawym problemem mechaniki kwantowej a jego rozwiązanie, nawet wtedy gdy odpowiedź wypadnie przeciwko teorii, będzie niewątpliwie postępem w nauce. A o to przecież głównie chodzi w każdej nowej hipotezie, w każdej młodej teorii.

*) „Observatory” tom 4, str. 87 (1953) — tłumaczenie autora.

**) Mowa jest o przestrzeni trójwymiarowo-czasowej, czyli o przestrzeni czterowymiarowej, która postuluje się teoria względności.

REDAKCJA



SPRAWY NIE CZYSTO CHEMICZNE

(Dokończenie ze str. 1)

roku 1951 przy rekonstruowaniu gmachu starej chemii istniała możliwość rozszerzenia pracowni — Ministerstwo określiło jej powierzchnię tylko na 110 miejsc. Co najmniej niekonsekwencją można więc nazwać fakt, że limit naboru na I rok studiów ustalony przez to samo Ministerstwo wynosi dużo ponad 200. Czyżby więc z góry planowano ponad 50 proc. odśwież?

Jak na razie wszyscy wskazują, że taki „plan” jest nie do realizacji.

SKANDAL

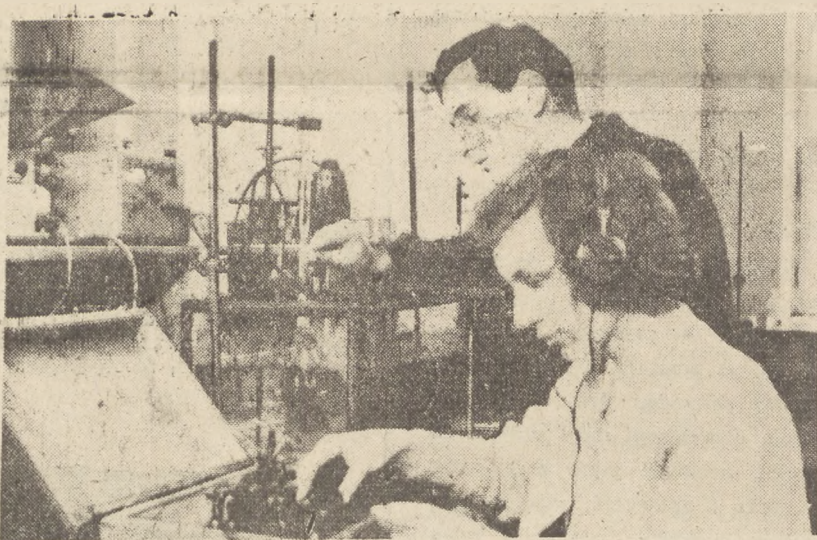
Szczupłość pracowni spowodowała, że w ubiegłym roku dla około 100 studentów nie starczyło tu miejsc w wyniku czego przeszło 50 studentów straciło jeden rok studiów. Podobna perspektywa grozi przeszło 70 studentom obecnego III roku, którzy rozpoczęli zajęcia w pracowni poważnie opóźnieni. Sytuacja pogorszy się jeszcze bardziej w roku przyszłym, gdy zakład chemii nieorganicznej odbierze zakładowe analizy ilościowej i technicznej 80 miejsc w pracowni „pozytywnych” na jeden semestr.

Skutki tej sytuacji odbijają się przede wszystkim na studentach. W takich warunkach mobilizowanie do twórczej, samodzielnej nauki jest w najlepszym wypadku sloganem. Maruje się w niedopuszczalny sposób zdrowie młodzieży, która przebywa w pracowni nadmierną ilość godzin i to do niedawna bez dodatkowego odżywiania (karygodne jest wprost, że o mleko dla studentów zapobiegające zatruciu trzeba było walczyć aż trzy lata).

Nadmierne przeciążenie, szkolarstwo, brak atmosfery naukowej — to rezultaty wymierne. Mierzą się one zastraszającą wprost ilością niedostatecznych w sesjach egzaminacyjnych, przemęczenie studentów daje się przedstawić również przy pomocy krzywej spadku ich zdrowotności. Ale sytuacja ta ma i inne skutki. Wytworzyła bowiem atmosferę nieuctwa, wykretów, półciężkiej drogi najmniejszego oporu, zrodziła ona niewiarę i zwątpienie w możliwość uczciwego przejścia przez studia skutki tego chociaż poważne są już mniej wymierne. Bo mo-

ralności, uczciwości ludzkich sumień nie da się przedstawić przy pomocy wykresów.

W takiej sytuacji kształcił się nie tylko chemików bez gruntownej wiedzy, szerszych zainteresowań i horyzontów myślowych, ale i ludzi o „spaczonych” sumieniach. Przecież zależy nam również m. in. na tym, by dziewczęta nie potrzebowały na egzamin ubierać się w nietwarzowe dla nich sweterki po to, by przypodobać się profesorowi, który podobno lubi „kolor błękitny”. Błękitem



W pracowni chemii fizycznej kol. kol. Elżbieta Sygnarska i Witold Tremski przy aparacie do miareczkowania konduktymetrycznego. foto Jerzy Wojciechowski

nie da się przesłonić niewiedzy ludzkiej.

Przy tego rodzaju systemie studiów co słabsi fizycznie i naukowo odpadają, a odśwież z uwagi na ciasnotę pracowni nie smuci władz wydziału. Zapomniano, że w każdym wypadku zrezygnowanie ze studiów jest tragedią osobistą, pierwszym ogromnym niepowodzeniem życiowym młodego człowieka, które może poważnie zaważyć na jego przyszłości. — *

Czas na wnioski, zarówno w artykule jak i w życiu:

— po pierwsze — trzeba dać wszelkie możliwości ukończenia studiów w normalnym czasie tym, którzy nie ze swej winy są opóźnieni w wykonaniu ćwiczeń w pracowniach. Jeżeli nie uda się zdobyć nowych pomieszczeń, można to osiągnąć poprzez dodatkowe otwarcie pracowni od września a nawet

od sierpnia;

— po drugie — należy zrewidować ilość zadań, gdyż przy ich wyznaczaniu nie brano pod uwagę konkretnych możliwości studentów;

— po trzecie — trzeba dostosować ilość kandydatów na I rok studiów do realnych możliwości umieszczenia ich w pracowniach, by nawet obok najmniejszego odświeżu nie można było przechodzić obojętnie.

To są główne wnioski, których realizacja powinna uzdrowić sytuację na wydziale chemii Politechniki

Warszawskiej. Przyjdzie to z pewnością nie łatwo, ale potrzebna jest do tego rzetelna, uczciwa pomoc Ministerstwa, dobre chęci dziekanatu i otrząśnięcie się samych studentów z dotychczasowego marazmu.

JERZY AMBROZIEWICZ

Cena kariery

(Dokończenie ze str. 3)

staje sam ze swymi bólami, kłopotami i troskami. Niech każdy troszczy się tylko o siebie. Ten zwyczaj — kto zdolny jest do pokonania innych. Dlatego muszę być egoistą — powtarzał z uporem — zwłaszcza w tym wypadku. Jestem młody, życie jest tylko jedno!

W grudniu Sławek wyrzucił Renę z domu: „Musimy się rozstać. Ja muszę mieć spokój. Nie mogę się stale denerwować. Matka ciągle sarką. Ja wiem, że ty nie jesteś winna. Ale takie jest życie, mówi się trudno... jeśli mamy żyć ze sobą, to i tak się kiedyś zejdziemy. Teraz musisz pójść stąd. Radz sobie sama”.

Rena poszła z wilanowskiego domu. Rodzicom swoim nie powiedziała prawdy. Pracowała nadal. Zarabiała około 800 złotych. Ciężko było utrzymać dziecko, siebie i pomoc rodzinie. Przez parę miesięcy Sławek „wspinałomyślnie” przysyłał jej 150 złotych. Duma nie pozwalała jej przyjmować tej jaltuzny. Po kilku miesiącach przestała pracować. Chciała iść na studia. Kłopoty pieniężne wzmożyły się jeszcze bardziej. Wtedy zdecydowała się pójść do Sławka. Prosiła go by dał jej zaświadczenie do Ubezpieczalni Społecznej, by mogła leczć dziecko i pomógł finansowo. Sławek roześmiał się: „Nie ci nie dam. Chyba że oddasz dziecko”.

Zmuszona była wystąpić na drogę sądową. Sławek przyszedł z adwokatem. Chciał mieć dziecko. Upierał się, motywował, że Waldek ma niewłaściwą opiekę, że warunki mieszkaniowe, w domu jest grzyźlica. Nie była to całkowita prawda. Mimo naprawdę złych warunków, syn chował się bardzo dobrze. Sędzia wniosek oddalił. Alimenty przysądził w wysokości 375 złotych.

Jakie są teraźniejsze losy bohaterów reportażu? Widzowski pogodził się z losem, chociaż do córki będzie czuł żal chyba do końca życia. Widzowska mocno posiwiała. Przeżycia pozostawiły trwałe ślady. Barański żyją spokojnie. Pracują, piją domowe wino, są bogobojni. Myślą o wykończeniu swego domu.

A Rena? Rena napisała list do redakcji. Zwierzyła się ze swych trosk i kłopotów. Rozmawiała z nią wiele razy. Do dzisiejszego dnia widzę jej twarz, na której zgasł szczyt, radosny uśmiech. Boję się wspomnieć bolesne oczy, nie chcę słyszeć słów strasznych, słów zwątpienia i rozpacz: „Nie wierzę ludziom — mówiła — często myślę czy warto żyć, bo i po co? Straciłam naukę, organizację (została usunięta z ZMP z powodu niedopiniowania spraw formalnych związanych z wydaniem

legitymacji) a co najważniejsze wiarę w ludzi...”

A Sławek?

Cieszy się dobrym zdrowiem. Nie brakuje mu niczego. Awansuje, odbarzony jest wielkim zaufaniem w pracy. Nie pije, nie uganja się za kobietami, wywiązuje się dobrze ze swych obowiązków zawodowych i partyjnych. Mówi, że o Renie krąży bardzo złe wieści.

Czy tak jest naprawdę — nie ma pewności. Wykreślił Renę ze swego życia.

W. GODEK

Opowieść niniejsza jest niestety prawdziwa. Dlatego też sprawa nie jest ani prosta, ani łatwa. Losy bohaterów skrzyżowały się i skomplikowały. Wiele złożyło się na to przyczyn i warunków. Różnorodność motywów postępowania Reny, Sławka i rodziców. R. cję są często wprost przeciwstawne. Nikt do winy się nie przynajnie. Wszyscy uważają, że postępowali słusznie.

Czy naprawdę tak jest? Czy rzeczywiście historia Sławka i Reny jest tak dalece indywidualna, że trzeba ją rozpatrywać jako wyłącznie ich osobistą sprawę i wobec tego nie można nikogo winić? Czy też są jakieś normy moralne, których trzeba przestrzegać bez względu na warunki i przyczyny, nawet za cenę swego szczęścia? — Osadźcie sami.



Ogólny widok pracowni chemii fizycznej. foto Jerzy Wojciechowski

Problem nie tylko do dyskusji

Dom studencki powinien w zasadzie stać się miejscem, gdzie student mógłby w wykładach nieco odpocząć, poczytać, przebrać niektóre partie materiału naukowego a także spędzić czas — możliwie przyjemnie, w warunkach zbliżonych do domowych (mówię — zbliżonych — bo brak tu osób bliskich, których troska o nas często przejawia się choćby w tym, co nazywa się popularnie „gderaniem”).

Tym być powinien — a ja chcę napisać — czym jest. Przychodzę wieczorem z wykładów — ciemno na korytarzu — potracam kogoś, ten ktoś na moje „przepraszam” nie pozostaje mi dłużny w słowach — ale to „bajka”. Idę do umywalni: ciemno — nabijam sobie guza na czole o drzwi i nieumyty wracam do pokoju. Chcę poczytać — za ścianą koncert, ktoś się „drze” na całe gardło. Ktoś idzie ciemnym korytarzem do ciemnej umywalni — żeby dodać sobie odwagi (no bo ciemno — może się bol) śpiewa „Marynkę”. Otwierają się drzwi z jakiegoś pokoju i słychać wymyślania na niefortunnego śpiewaka. On oczywiście odpowiada.

Na moim piętrze jest dużo pokoi — umywalnie obok — śpiewających, gwizdających i w następstwie tego kłócących się jest wielu. Można to jednak przetrzymać. Za ścianą „oblewają” egzamin — trzy pokoje dalej również wesoło, śpiewa, a ja zdając za 3 dni — chciałbym coś niecoś jeszcze poczytać.

Gdy kolezdy z piętra mają troszeczkę „w czubie” zaczynają do siebie telefonować. Nie wiecie jak? To bardzo proste. Staje się na oknie, otwiera górny lufcik i krzyczy się ile „pary” w płucach „Staaaaszek”. Jest oczywiście i odpowiedź. Ktoś znajdujący się w podobnej sytuacji jak ja (to znaczy czytający, a może już śpiący) rzuca pod adresem telefonujących kilka uwag. Oczywiście skutek piorunujący, tzn. rozpoczyna się wzajemne wymyślanie.

Schodzę do kolegów na parter. Jest godz. 11.00. W pokoju — miły obrazek: dwa łóżka nie pościelone, na jednym jeszcze któryś śpi — na innym grają w tysiąka. Na stole słońce po śmalcu, 2 garnuszki, chleb, grzebień, ręcznik i coś z garderoby. Zadymiona atmosfera „czysto klubowa”. Ten pokój to nie wyjątek.

Jeszcze inny obrazek. Długo czekaliśmy wszyscy na ciepłą wodę, bo coś się tam popsuło. Nie kapaliśmy się 2 czy 3 tygodnie. Aż tu szum. Nikogo nie wypuszczają z DS — czemu? Ktoś zachorował. „Epidemia”. Rozpoczyna się kolejne „parzenie” w łazience poza DS (trzeba przynieść zaświadczenie, bo a nuż byś się nie wykapał), a potem sypanie wszystkich pokoi azotoksem. Białe jak w magazynie maki. Wszędzie powietrze przesiąknięte zapachami środków dezynfekcyjnych.

Środki tego rodzaju są konieczne, tylko, że do takiego stanu można nie dopuścić. Jakis czas był spokój. A potem po dawnym brudnym umywalnie, brudne ustępy, brudne kuchenki, brudne korytarze i brudne pokoje.

Oto kilka obrazków z II DS przy ul. 3 Maja 5 w Krakowie. Czy można by było temu zaradzić? Wydaje mi się, że tak. Uważam, że dla zaprowadzenia porządku należy:

1. Odpowiednio oświetlić wszelkie pomieszczenia;
2. pokoje powinny być sprzątane przez sprzątaczkę przynajmniej raz na tydzień (sprzątanie generalne);
3. w kuchenkach należy postawić naczynia na zsypanie resztek z zapałek i herbaty, na skurupy od jaj, spalone zapalki, zlewy byłyby wtedy czyste.

Tyle można zrobić drogą administracyjną. A teraz od strony wychowawczej.

Istnieje na terenie II DS Rada Mieszkańców. Może ona raczyłaby zainteresować się tymi wszystkimi sprawami? Może Komitet Uczelniany ZSP wreszcie zajmie się pracą Rady? Przecież m. in. ma on zadanie organizowania życia na terenie DS. Nie wychowamy nowego człowieka wyłącznie na uczelni podczas wykładów czy ćwiczeń, ani nawet na zebraniach zetempowskich. Wychowywać trzeba również tu — gdzie się wydaje każdemu, że zaczyna się jego życie „prywatne”. To nie będą już słowa bez pokrycia, a będą czynny. Może inicjatorem zainteresowania się pracą wychowawczą na terenie II DS będzie KU PZPR przy UJ? (Sekretarz KU PZPR przy UJ bardzo ciekawie referował sprawę wychowania w DS na kolegium międzyuczelnianym w KW PZPR).

Rada Mieszkańców zdobyła się od początku roku akademickiego na 2 „Byskawice”. Spełniły one swoją rolę. Tylko przydałoby się ich więcej. Ogłoszono 2 tygodnie temu konkurs czystości w pokojach — pięknie — tylko zapomniano chyba „dopilnować” komisję (prawdopodobnie taka jest) która sprawdzałaby czystość. Wydaje mi się, że byłoby konieczne, aby ktoś z Rady Wydziału, ktoś z ZU ZMP czy z Zarządów Wydziałowych ZMP, ktoś z Wydziału Warunków Studiów ZSP odwiedził co pewien czas DS — przeszedł po pokojach i porozmawiał, a nawet zwrócił uwagę na utrzymanie porządku czy na zachowanie się studentów.

Szkoda, że władze uczelni nie doceniają pracy wychowawczej w DS, że nie zajmują się tym dostatecznie ani profesorowie, ani asystenci.

Chciałem zaznaczyć, że są to moje subiektywne uwagi na temat życia w DS nr II — a wnioski wynikają z obserwacji pracy także w innych DS. Czy są one słuszne — poddajcie kolegom pod dyskusję.

JERZY JAROWIECKI
Kraków



zgryźliwie

Otrzymałem wczoraj list pisany przezoczyszym atramentem na przezoczyszym papierze, pełen gorzkiego słowa i najskusniejszego załóż, pełen tęsknoty za osobną użnania. Piszącemu dzieje się krzywdy. Jego wysiłki nie są ocenione i nagrodzone tak, jak być powinny. Moje oburzenie jest równie głębokie, jak i zale biednego korespondenta. Niech teraz winowajcy naprawią uczynione zło! Winowajcy, styszyście? Wymieniam was imieniem: wszyscy studenci Politechniki Gdańskiej, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Medycznej w Szczecinie! Przeczytajcie ten list, a skosztujecie sumienia żakipi wam. Niech kipi!

Redaktorze, opiekunie niedocenionych!

Do Ciebie się zwracam, opoko! Ja biedny duch IV klasy o szybkości wcielenia się 1/10000 sekundy i zdolności przenoszenia w 2/356783 sekundy na odległość 400 kilometrów. Duchy w IV klasie otrzymują etat opiekunów sekcji. I ja także od września ubiegłego roku pełnię obowiązki ducha kumoterstwa trzech Komitetów Uczelnianych ZSP: Politechniki w Gdańsku, Akademii Medycznej w Szczecinie i Uniwersytetu Jagiellońskiego. W grudniu otrzymałem od starszego inspektora kumoterstwa na sześciu wyższym polecenie dopinowania akcji wczasów zimowych. Było mi to nie na rękę, zimna bowiem nie lubię, ale od wykonania obowiązku nic mnie powstrzymać nie mogło. Natychmiast pojechałem się z żoną i wyszedłem na Drogę Mleczną, którą udałem się ze średnią szybkością do Krakowa. Tam bez zwłoki wcieliłem się w Komitet Uczelniany ZSP UJ. Przybyłem w sam czas, ponieważ starostwie już złożyli listy kandydatów na wczasy zimowe i moje spóźnienie mogłoby mieć dla mnie fatalne następstwa w postaci nagany starszego inspektora kumoterstwa, a nawet obcięcia kwartalnej premii i utraty obiecanej przydziału mieszkania na Księżycu. W celach, które wyjaśnię za chwilę, spowodowałem, by Komitet Wydziałowy wydziału prawa wytypował na wczasy tych, którzy i tak nie pojadą, bo wolą jechać do rodzin. Oni w istocie zrzeczynali, więc zwolniły się miejsca dla przewodniczącego Komitetu i jego za-

stępnych. Pozostałe skierowania dość szybko rozdzieliło się zgodnie z moją instrukcją.

Następnie przeniosłem się z szybkością maksymalną, czas bowiem naglił, na Politechnikę Gdańską, gdzie natychmiast wcieliłem się w KU ZSP. Jako przykład ofiarności mojej pracy wymienię, że z wydziału budowy okrętów wysłałem na wczasy dość zgranych przyjaciół z Komitetu ZSP, przez co zapewniłem tam obecnie polecaną harmonię, tudzież jedność, które pomagają nam osiągać to, co mamy zamiar osiągnąć. Odrzucenie — podobnie jak i w Krakowie — wszelkie sugestie przyznawania miejsc studentom pierwszego roku: muszą oni obecnie skoncentrować się nad zagadnieniami budowy okrętów, a kiedy przejdą na wyższe lata i wejdą do sitwy, też będą mogli pojechać.

Nieco już zmęczony, przyszedłem szczerze, udałem się do ostatniej komórki mojej sekcji — do Akademii Medycznej w Szczecinie. Już tam ktoś „dażył puścić bujdy, że na wczasy pojadą przewodnicy nauki, i w tym duchu (wszędzie ta konkurencja, psia krewno!) sporządzono wnioski. Szybko jednak przeniosłem podobne kandydatury na listy rezerwowe, które służyć miały do umiśnienia ewentualnych pyskaczy, i przysłałem wczasy, jako rekompensatę za pechowe mierne wyniki w nauce, paru członkom Komitetu Uczelnianego ZSP, którzy przecież od lata nie byli na wczasy. Kilka skierowań oraz kilku przyjaciół członków Komitetu jeszcze pozostało, więc połączyłem ich razem, gdyż nie należały do nich wbrew naturze.

Potem, spełniwszy obowiązek, wyjechałem na zasłużony odpoczynek. Na wczasy. Po powrocie, kiedy zameldowałem się u starszego inspektora, nadducha II klasy z pomarańczowym pomponem, spotkała mnie przykrość. Okazało się, że niektóre fajflipy z Komitetów Uczelnianych, jednostki, którym byłem oddany całym duchem, nie potrafiły sprytnie całej tej historii z wczasami przeprowadzić: niektórzy studenci zaczęli zadawać niedyskretne pytania, tamci się poplatali i wyszło sztyldo z worka, czyli — jak to się u nas mówi — plazma z ducha. Proszę skargi do jakiegokolwiek pisma POPROSTU. Moi pod-

awieć egzamin dyplomowy już w indeksie i co teraz? To była pierwsza myśl Romana, kiedy opuścił Zakład Chemii Rolnej. Odpowiedź na pytanie przyszła niespodzianie szybko. Niski, trochę krepki mężczyzna, szybkim krokiem podszedł do Romana: „Gratuluję, czekam właśnie na pana. Może pan pozwoli do mego pokoju”.

Roman Moraczewski dał się poprowadzić profesorowi Grzymale — przegadali bite cztery godziny. Najpierw profesor mówił o sobie, jaką drogą poszedł po studiach, jakie miał trudności, co dało mu zadowo-



Profesor Grzymala potrafił zachęcić do łakarstwa nie tylko swych słuchaczy-studentów. Na zdjęciu widzimy profesora wraz ze swoją córką, która jest przedującą studentką wydziału melioracji.

lenie w pracy. Później słuchał planów Romana, doradzał, krytykował. Było to trzy lata temu. Do dziś dąla Roman pozostał z prof. Grzymalą, zakopany i zachowany po uszy w zagadnieniach łakarskich. Mimo ukończenia na studiach specjalizacji chemii rolnej, napisał bardzo ciekawą pracę z łakarstwa i jest szanowanym przez wszystkich asystentem.

Wiele dni po tej pamiętnej rozmowie Roman zapytał zartem profesora, jak to się stało, że on go zapamiętał — przecież nigdy oprócz wykładów i egzaminu nie mieli ze sobą bliższego kontaktu. Profesor obruszył się. Jak to? Na egzaminie rozmawiał z nim blisko dwie godziny? A czy można nie zapamiętać człowieka, o którym przez dwie godziny się myśli, stara się mu przypomnieć, wyjaśnić wątpliwości a w końcu postawić sprawiedliwy stopień?

*

Krystyna Rogalska zdumiona spoglądała na Kocia. Co jest, przecież Koć materiał ma opanowany dobrze, na ćwiczeniach był zawsze „przytomny” (jak określał asystent Grzyb) a tu, na egzaminie, plecie trzy po trzy?

Spoza okularów spoglądają badawczo oczy profesora. Dawno na-

PROFESOR

leżałoby postawić niedostateczny, ale wyniki z ćwiczeń wskazują na to, że student zna materiał. Zieleniak miał również dobry. Minuty wloką się. Jeszcze jedno pytanie, jeszcze jedno i jeszcze... „Jesteście na torfowisku, które przeobrażacie w pastwisko. Są już wykopane rowy. Jakich używacie nawozów dla użyczenia ziemi?” Chwila namysłu „W tym celu zużywamy wykopany

nem egzaminu — można szybko zapomnieć człowieka?”

*

Profesor wszedł na salę dźwigając nieodłączne gablotki z trawami. Wykład rozpoczął się dziś inaczej niż zwykle — nie od powtórzenia poprzedniego, ale od analizy egzaminu grupy III wydziału rolnego, zdającego przedterminowo. Egzamin na ogół poszedł niezle. „Jest tu może przypadkiem ktoś z tej grupy na wykładzie?” „Jesteśmy, panie profesorze, jesteśmy”. Posypały się odpowiedzi z różnych stron sali.

Niestety, nieczęste są u nas wypadki, żeby cała grupa przyszła (nadbobiwającowo) na wykład, z którego zdawała już egzamin.

*

Basia Kwiatkowska odprowadza do drzwi uczniów X klasy, którzy odwiedzili SGGW i wysłuchali kilku wykładów. Na jej pytanie, który wykład im się najbardziej podobał i na jaką specjalizację najchętniej by poszli, otrzymuje jednakowe odpowiedzi: „Wykłady profesora Grzymala. Czy jest specjalizacja z łakarstwa?”

Basia uśmiecha się z uznaniem. „My też uważamy, że to są najciekawsze wykłady. Nie potrzeba sprawdzać na nich listy obecności”.

*

Gabinet profesora. Jakież wyobrażenie kryje się za tymi słowami? Majestatyczne biurko, olbrzymi fotel, połyskujący telefon, portrety wielkich uczonych...

Mały pokój jakby wcisnięty w olbrzymią salę laboratoryjną, dwa stolczki, krzesła — to wszystko. Gdyby nie wizytówka na drzwiach — „prof. Grzymala” — nikt by się nie domyślił, że to właśnie gabinet profesora, jednego z najlepszych polskich łakarzy, kierownika dużego zakładu naukowego.

Jest tu przytulnie i swojsko. I ten nastrój odczuwają pewnie studenci. Jeden przyszedł po zieleniak, inny pożyczyc książkę, magistrant radzi się co do pewnych zagadnień swej pracy, tylko jeden nieznamy krąży jakoś nie zdecyd-

POPROSTU pomogło

W związku z artykułem pt. „Wzorcowa budowa” opublikowanym w 38(304) numerze naszego pisma ob. Minister Szkolnictwa Wyższego powołał komisję, w skład której weszli przedstawiciele Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwa Budownictwa Miast i Osiedli oraz przedstawiciel Rady Naczelnej ZSP. Komisja zajęła się zbada-

niem przyczyn niedociągnięć w DS 4a i 4b przy ul. Kiekiego w W-wie. MSW przesała nam komunikat, który zamieszczamy poniżej. Komisja ustaliła następujące fakty:

I. W ZAKRESIE PRZYGOTOWANIA DOKUMENTACJI:

1. Generalny projektant ob. Jerzy Kotyński nie uzgodnił z właściwymi władzami projektu sieci gazowej, przez co dom przy ul. Kiekiego 4a został podłączony do sieci gazowej w dniu 12.XII.1954 r. zamiast w dniu 1.IX.54 r.

2. Generalny projektant ob. Jerzy Kotyński nie uzgodnił z właściwymi władzami projektu sieci wodociągowo-kanalizacyjnej, skutkiem czego mieszkańcy Domu Studenckiego przy ul. Kiekiego 4a byli zmuszeni do korzystania z prowizorycznej sieci wodociągowej budowanej do dnia 9.X.54 r. jak również z prowizorycznych ustępów.

3. Powyższe zaniedbanie Dyrekcja Zarządu Ośrodków Akademickich potrąca generalnemu projektantowi z należności za wykonaną dokumentację karę umowną, z tytułu niedostarczenia dokumentacji w terminie umownym.

Nadzór budowlany — Zarząd Inwestycji Szkół Wyższych w Warszawie — aby uniknąć w przyszłości podobnych wypadków, zobowiązany został do sprawdzenia, czy dokumentacja jest uzgodniona z właściwymi władzami, w odniesieniu do sieci wodociągowej i kanalizacyjnej — z Dyrekcją Wodociągów i Kanalizacji, do sieci gazowej —

ze Zjednoczeniem Gazownictwa, a sieci elektrycznej — z Zakładem Zbytu Energii Elektrycznej.

3. Kratki ściekowe w pomieszczeniach wspólnych umywalk nie zostały przewidziane przez projektanta (Miejskie Biuro Projektów m. st. Warszawy) stąd ich brak w Domu Studenckim przy ul. Kiekiego 4a. Weryfikator projektu jak i Zarząd Ośrodków Akademickich nie uznali za potrzebne ich wykonanie. Dopiero wykorzystując doświadczenia w/w Domu Studenckiego — kratki ściekowe wykonano w ślednim DS przy ul. Kiekiego 4b.

4. Również nogomyjki nie były przewidziane projektem. Ten brak nasuwa żądanie, aby przyszłe projekty domów studenckich uwzględniały tego rodzaju urządzenia.

5. Szafy w pokojach mieszkalnych przeznaczone są na minimalną liczbę mieszkańców pokoju (3 osoby) i zostały wykonane zgodnie z projektem. Wobec zagęszczenia pokoiów są one niewystarczające i w pierwszym kwartale 1955 r. zostaną zakupione dodatkowe szafy.

6. Stółówka w osiedlu studenckim przy ul. Kiekiego nie była przewidziana do chwili ustalenia programu użytkowego, a została zaprojektowana już w trakcie budowy. Przypuszczamy, że do końca br. roboty przy adaptacji pomieszczeń stółówki zostaną ukończone.

II. W ZAKRESIE WYKONAWSTWA:

1. Okucia budowlane (zamki i spina-cze okienne) zostały dostarczone na budowę i zamontowane w domach z wadami materiałowymi (słabej jakości). Ministerstwo Budownictwa Miast i Osiedli ustali wykonawcę tych okuć i zgłosi mu odpowiednie zastrzeżenia. Za złe przeprowadzone roboty instalacyj-

wanie kolo drzwi, które się w ogóle nie zamykają.

Siwy prof. Gorski minął się w nich z młodą prof. Makarewiczową. Prof. Grzymala w ogóle nie siada, bez przerwy chodzi olbrzymiej szafy do stolika, udziela koleżeńskich porad, coś sprawdza, żywo tłumaczy i często gwałtownie zapiera się. W tej chwili dyskutuje z prof. Maksymowem, starym przyja-cielem od 30 lat.

Nasz wyciekający pod drzwiami nieznamy widocznie jest zdenerwowany. Do profesora znów wchodzi jakiś przyjezdny z walizką. Witają się entuzjastycznie. To prof. Falkowski z Zakładów Uprawy Łak z Poznania.

Oczekujący młody człowiek wreszcie odważył się. Okazuje się, że to nie student, ale absolwent wydz. melioracji, kol. Przekwas, który od dwóch lat pracuje na łakach Żuław. Łakarstwo bardzo go interesuje, chciałby pogłębić swoje wiadomości i dlatego pragnie pisać pracę magisterską pod kierunkiem prof. Grzymala.

Moraczewski mruga na nas porozumiewawczo. Nie ma na co czekać! Tu zanosi się na dłuższą rozmowę.

*

Absolwenci wydz. rolnego czy melioracji skarżą się na wiele trudności i braków, jakie wynikają z powierzchownego opanowania takiego czy innego przedmiotu w czasie studiów. Jednak wszyscy o swym przygotowaniu z łakarstwa mówią jednakowo: profesor Grzymala potrafił nie tylko dać im podstawowe wiadomości, jakie powinien mieć o uprawie łak każdy rolnik, zootechnik, czy meliorant; nie tylko nauczył ich swobodnego poruszania się w terenie, ale przede wszystkim potrafił zachęcić do głębszego zainteresowania tym przedmiotem.

I to jest wielki, ba, olbrzymi sukces profesora: zdobyty wysiłkiem niezmordowanej, rzetelnej, codziennej pracy ze studentami.

H. WIEGNER

ne Ministerstwo Budownictwa Miast i Osiedli wyłączenie surowe konsekwencje w stosunku do wykonawców (Zjednoczenie Instalacji Sanitarnych nr 2 i nr 3).

III. W ZAKRESIE NADZORU:

Stwierdzono niedostateczny nadzór nad robotami instalacyjnymi. Inspektor nadzoru z ramienia Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych w Warszawie ob. inż. J. Sadowski został zwolniony z pracy, a kierownik Zarządu Inwestycji otrzymał nagana za brak nadzoru nad przebiegiem prac instalacyjnych, za wyznaczenie mało energicznego inspektora i nie wykorzystanie doświadczeń z roku ubiegłego przy budowie domów studenckich.

IV. W ZAKRESIE UŻYTKOWANIA DOMÓW:

Brak stałego konserwatora przy dużym zagęszczeniu domów jest jedną z przyczyn niedomagań w sprawnym funkcjonowaniu urządzeń domów.

Użytkownik domów (Uniwersytet Warszawski) otrzymał polecenie przydzielenia dla tych domów konserwatora.

Domu studenckie projektowane dotychczas w resorcie szkolnictwa wyższego są różnorodne oraz niejednolite pod względem wyposażenia w urządzenia wewnętrzne. Ponieważ przed Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego stoi zagadnienie dalszej rozbudowy domów studenckich, postanowiło ono opracować typowe elementy domów studenckich, (np. stółówka, śniadalnia, świetlica, pokój mieszkalny itp.), które byłyby wykorzystane przy projektowaniu nowych budynków, jak również postanowiono opracować album dokumentacji projektowej DS dla wykorzystania w nowym budownictwie (dokumentacja powtarzalna i typowa).

Czy wiesz że...

Sukces młodych metalurgów

Wszyscy znamy dobrze mosiądz, z którego wykonuje się np. klamki do drzwi, kurki wodociągowe i różne części maszynowe. Mosiądz jest stopem, wytwarzanym z miedzi i cynku, przy czym zawartość miedzi wynosi tu od 60 do 90 procent. Gdy jej ilość spadnie poniżej 60 proc. stop upodabnia się swymi cechami do cynku i staje się stopniowo coraz bardziej kruchy, mniej nadaje się zarówno do odlewów jak i obróbki plastycznej: wytrzymałość i plastyczność obniżają się, a wrażliwość na wpływy chemiczne wzrasta.

Aby zaoszczędzić cenną miedź już od dawna metalurgowie dodawali do tego stopu w drobnych ilościach różne inne metale, jak mangan, ołów, żelazo itp., uzyskując ciekawe zmiany własności stopu. Co się dzieje, gdy do stopu miedzi-cynk dodamy np. manganu? Otóż mangan (stosunkowo rzadki metal używany do uszlachetniania stali) ma tę cenną zaletę, że dodany do mosiądzu wpływa na jego strukturę plastyczną: wytrzymałość i plastyczność obniżają się, a wrażliwość na wpływy chemiczne wzrasta.

Udało się to dopiero naszym młodym metalurgom z Instytutu Odlewnictwa.

W krakowskim Instytucie Odlewnictwa kierowanym przez znanego metalurga inż. J. Januszewicza, mieści się m. in. Zakład Stopów Metali Nieżelaznych prowadzony przez inż. Zbigniewa Górnego. Właśnie kilku młodych metalurgów tego Zakładu dokonało ciekawego odkrycia: zwiększając w stopie manganu zawartość manganu, uzyskiwali oni stopy o doskonałej jakości. Oto z końcem roku 1953 inżynierom Rutkowskiemu i Górnemu udało się opracować sposób modyfikacji nowego mosiądzu, co zdecydowało o możliwości zastosowania odkrycia w przemyśle.

Na czym polega to odkrycie? Gdy do stopu miedzi — cynk — mangan w stanie ciekłym wprowadzić się nieco aluminium lub jego stopu z krzemem, to actually, mając większe powinowactwo chemiczne do tlenu niż mangan, odbiera ją utleniaczowi stopu manganu. W ten sposób doprowadzają go z powrotem do stanu czystości. Wobec czego mangan bez trudności wchodzi w skład siatki krystalicznej stopu. Natomiast jętki glinu, wzgl. pewne związki jak antymon, nie są dla struktury stopu szkodliwe, zwłaszcza, że łatwo wylęgają na wierzch jako żużel.

Opisany wyżej proces odtleniania manganu nosi nazwę modyfikacji. Dzięki niemu polski przemysł metalowy uzyskał nowe, wysokowartościowe tworzywa w postaci niskomiedziowego mosiądzu manganowego, w którym droga miedzi została ilościowo zredukowana, a jej



Inż. Władysława Kapera i mgr inż. Zbigniew Górny badają właśnie surowe odlewy stopów.

miejsce zajął łatwiej dostępny cynk i mangan.

Caly rok 1954 poświęcono szczegółowemu badaniu własności odlewniczych nowego stopu, opracowaniu instrukcji oraz przeprowadzeniu instruktażu i wytopów w zakładach przemysłowych. Obecnie wymienieni inżynierowie prowadzą dalsze badania nad obróbką cieplną oraz przeróbką plastyczną swych niskomiedziowych stopów manganowych.

W tym poważnym dziele współpracowali także inż. Czesław Adamski i inż. Władysława Kapera. Stałym konsultantem naukowym zespołu był jeden z najlepszych polskich metalurgów, dr Aleksander Krupowski, profesor AGH i rzeczywisty członek PAN. Do powodzenia całego dzieła przyczynili się także

inżyniersko-robochnicze brygady robocze kilku naszych zakładów fabrycznych wytwarzających odlewy mosiężne w Krakowie, Bielsku, Stalagrodzie, Wrocławiu itd.

Dziś szereg zakładów przemysłowych wykonuje już odlewy mosiężne z nowego stopu, uzyskując doskonałe wyniki i co najważniejsze, oszczędzając drogą, deficytową miedź — kosztem taniego, krajowego cynku. Polska może być dumna ze swych fachowców dokonujących dzieła, nad którym daremnie mógłi się przez długie lata liczyć metalurgowie zagraniczy.

EUSTACHY BIAŁOBORSKI



Sport

Sport



Sport



Sport



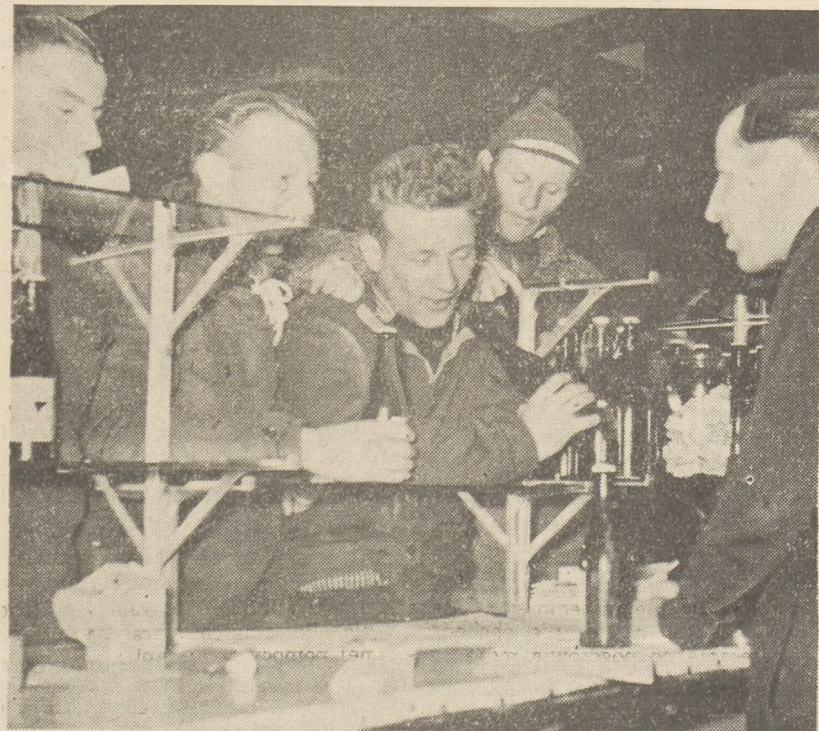
Sport



Na trasie naszego raidu



Uroczyste schronisko PTTK im. Krajewskiego w Andrzejówce powitało uczestników I Studenckiego Raidu Narciarskiego serdecznie i gościnnie.



Kierownik schroniska tow. Przychodził sam obsługiwać bufet — a wydając studentom piwo czy oranżadę — pyta o wrażenia z trasy.



Wieczorem zeszli się wszyscy w świetlicy schroniska. Króluje brydż. Chyba leżymy bez jednej... myśli kol. Miśłowicz.



Wieczornica na etapie to niebywała okazja zdobycia punktów dla drużyny. Kierownik schroniska kręci galkę po falach eteru... o jest... właśnie Berlin nadaje muzykę taneczną. Przy stołkach rozgrywały się ostatnie robry. Taniec pokonał brydża. Tańczą prawie wszyscy — i uczestnicy raidu i wczasowicze ze schroniska im. Krajewskiego.

Kto pierwszy zje cukierek?
Raidowcy delegują dwóch studentów — wczasowicze dwie swoje koleżanki.
Cukierki są na nitkach. Najpierw trzeba „zjeść” nitkę — czyli wciągnąć ją całą ustami, aż papirek cukierka zaszeleści w zębach.
Nie jest to wcale tak łatwe — jak się na pozór wydaje. Widzowie śmieją się i rozśmieszają „zawodników” — co bardzo przeszkadza w osiągnięciu finału.



Zaraz się przekonamy, kto jest lepiej odżywiany — studenci czy wczasowicze? Raidowcy delegują spośród siebie najsilniejszego. Jest nim kolega Miśłowicz, specjalizujący się na WSWF w podnoszeniu ciężarów. Wczasowicze wysuwają swojego reprezentanta, ob. Mianowskiego.
Obaj kłękają na podłodze na kocu. Kto kogo prześcignie? Mocny ziemnienny pas opłata oba karki. Chwila wysiłku mięśni!... student WSWF zostaje pokonany.
Widocznie kuchnia ze schroniska PTTK w Andrzejówce jest lepsza od stołówek studenckich.

Zdjęcia: S. WDOŃSKI
Tekst: K. TARASIEWICZ

PILKA RĘCZNA

W dniach od 25 do 27 lutego rozegrano w Hali AWF finałowe spotkania o Mistrzostwo Polski w 7-mio osobowej piłce ręcznej mężczyzn.

AZS reprezentowały zespoły WSWF Wrocław i Warszawskiej Politechniki. Wrocławianie pokonali AZS Politechnikę 8:7, stalingrodzka Spartę 10:8 i ulegli Zrywowi z Gdańska 10:18, zajmując w ostatecznej punktacji III miejsce.

Mistrzem Polski została Sparta Staliność przed Zrywem Gdańsk i AZS WSWF Wrocław. Czwarte miejsce zdobył zespół AZS Politechniki Warszawska, który przegrał wszystkie spotkania.

Po zakończeniu turnieju drużyna WSWF Wrocław wyjechała do Szczepku, gdzie zorganizowano obóz treningowy przed sezonem ligowym. Kierownikiem obozu jest trener zespołu i kierownik katedry gier zespołowych na WSWF Wrocław — mgr Szymański.

PILKA NOŻNA

Nowy Zarząd Koła AZS przy Uniwersytecie Warszawskim rozpoczął ożywioną działalność. Na terenie uczelni ukazały się liczne afisze donoszące o organizacji sekcji piłki nożnej, narciarskiej i kilku innych.

Zyczymy Zarządowi Koła AZS przy UW wielu chętnych do pracy w sekcjach, a studentom UW, aby nie skończyło się na... afiszach.

PIŁKARSTWO

Pływak AZS weszli w ostatnią fazę przygotowań przed czekającymi ich znowymi Akademickimi Mistrzostwami Polski w pływaniu, które odbędą się na pływalni AWF w Warszawie w dniach 1 — 3 kwietnia br. W Mistrzostwach weźmie udział około 140 zawodników i zawodniczek.

KOLARSTWO

Czołowy 1. Marsz reprezentacji Polaki i wielokrotny uczestnik Wysokiego Pokoju — Mieczysław Wilczewski — jest jak wiadomo studentem III roku wydziału stomatologii Śląskiej Akademii Medycznej. Po pomyślnym zdaniu egzaminów w sesji zimowej, Mietek przystąpił energicznie do organizacji sekcji kolarskiej przy AZS w Rokietnicy, w której pracy chce wziąć udział jako zawodnik i jako trener. Na przeszkodzie tych planów doskonałego kolarza stoi jego macierzyste Zrzeszenie Unia, które odmawia Wilczewskiemu zwolnienia, tłumacząc to tym, że jest on wychowankiem Unii.

Nie trzeba jednak nikomu tłumaczyć, jak wielkie znaczenie dla rozwoju kolarstwa w AZS miałyby przejście do naszego Zrzeszenia tak dobrego i znanego zawodnika, który jako student powinien już dawno jeździć w AZS. Wielu studentów — kolarzy i zwolenników tego sportu czeka w tej chwili na decyzję Sekcji Kolarstwa GKFK, która winna wziąć pod uwagę wszelkie argumenty przemawiające za przejściem Wilczewskiego do swojego, studenckiego Zrzeszenia.

HOKEJ NA LODZIE

W Stalinoście zakończyli się Akademickie Mistrzostwa Polski w hokeju na lodzie. Tytuł Akademickiego Mistrza Polski na rok 1953 zdobyła drużyna AZS Staliność przed Warszawą, Poznaniem i Zakopanem. W decydującym spotkaniu Staliność wygrał z Warszawą 4:3.

A. G.

POKRZYWY

JANUSZ TERAKOWSKI

Jak i kogo krytykować (Instrukcja)

● SZAREGO STUDENTA — im częściej — tym lepiej. Świadczy o krytycyzmie i społecznej postawie.

● AKTYWISTĘ — tylko wtedy, gdy zaczął już inni aktywiści. W przeciwnym wypadku będzie to podrywanie autorytetu organizacji.

● PROFESORÓW I ASYSTENTÓW — lepiej nie. Jest to wprawdzie wyrazem dużej cywilnej odwagi, lecz należy wprawdzie zastanowić się, czy nie czeka nas u nich egzamin, a przy obecnym systemie planowania studiów nigdy nie nie wiadomo.

● MINISTERSTWO — w dobrym tonie kłąć często, lecz w zaufanym towarzystwie. Głośniejsze okrzyki mogą usłyszeć profesorowie i obrazić się. O ministerstwo nie ma żadnej obawy, nasze głosy tam nie docierają.

● SIEBIE — tylko w tym wypadku gdy mamy pewność, że otoczenie będzie gorąco protestowało.

Wasz instruktor

(—) Podpis jak zwykle nieczytelny.

nowania studiów nigdy nie nie wiadomo.

● MINISTERSTWO — w dobrym tonie kłąć często, lecz w zaufanym towarzystwie. Głośniejsze okrzyki mogą usłyszeć profesorowie i obrazić się. O ministerstwo nie ma żadnej obawy, nasze głosy tam nie docierają.

● SIEBIE — tylko w tym wypadku gdy mamy pewność, że otoczenie będzie gorąco protestowało.

Wasz instruktor

(—) Podpis jak zwykle nieczytelny.

nowania studiów nigdy nie nie wiadomo.

● MINISTERSTWO — w dobrym tonie kłąć często, lecz w zaufanym towarzystwie. Głośniejsze okrzyki mogą usłyszeć profesorowie i obrazić się. O ministerstwo nie ma żadnej obawy, nasze głosy tam nie docierają.

● SIEBIE — tylko w tym wypadku gdy mamy pewność, że otoczenie będzie gorąco protestowało.

Wasz instruktor



Rys. Maja-Berezowska

— Zacy więc nam powiadają
Co im tam w garnki dają...

— A bogactwa cudze kramy
Pozłacane marcepany.

MIKOŁAJ REY

Zatrzymaj się chwilo

Jeden z moich kolegów rozpoczął dziwny trening: próbuje odzwyczaić się od jedzenia.
— Bardzo mi się jednak trudno przyzwyczaić do takiego odzwyczajania się — przyznaje szczerze.
Drugi — majstruje coś wielkiego w wielkiej tajemnicy.
— To miał być wehikuł czasu. Chciałem coś takiego zbudować, ale się nie udało. Może gdybym miał więcej pieniędzy... Ale — wiecie — czas to pieniądz, proste więc, że na wehikuł czasu trzeba dużo pieniędzy.
Trzeci — zawsze miał poetycką „smakalke” — deklamuje z uczuciem: „Zatrzymaj się chwilo!” i przy tych słowach Fausta zaciska

pięści (kto nie rozumie gry słów, temu wytłumaczę: Faust po niemiecku pięść).
Czwarty — nic nie mówił, nic nie robił, ciągle tylko... jeździł. Z UW do stołówek na Karolkowej i z powrotem, w ramach godziny „wolnego”, przeznaczoną na zjedzenie obiadu.
Zjedzenie obiadu? Kto zna trasę UW — Karolkowa i Karolkowa — UW... kłóż jednak, kłóż jej nie zna?
Podobno chodzą głuche legendy o herosach, bohaterach obdarzonych nadzwyczajnym szczęściem (czy też talentem) szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce... Ludziom tym udało się, jak wiecie niesie, do-

paść do stołówek na Karolkowej, wciągnąć w nos zapach obiadu i — o dziwo! — po jednym takim niuchu zdążyć jeszcze bez spóźnienia na wykłady popołudniowe!
Nie do wiary, a jednak... szczęśliwcy! Reszta patrzy na nich zazdrośnie, lykając ukradkiem ślinę (jedyną rzecz, którą zdążą przełknąć). Jad zawiści podsuwa im projekt: niechaj stołówka znajduje się jeszcze dalej od uczelni. Wówczas będzie sprawiedliwość: nie będzie wyjątków, nikt nie zdąży!
Projekt, by umieścić bliżej stołówek, nie wpadł nikomu do głowy. Byłby to optymizm chorobliwy.

JANUSZ BIAŁECKI

Pocztą „Pokrzywy”

Szanowny redaktorze POKRZYWY!

Będąc w Poznaniu z prawdziwym niesmakiem dowiedziałem się, iż studenci tamtejszej Wyższej Szkoły Rolniczej skarżą się na skrócenie im przez dyrektora tamtejszej opery kontyngentu biletów zniżkowych na przedstawienia operowe.

Głębokim smutkiem napawają mnie te omal wywrotowe ekscesy naszej młodzieży, bo czy inaczej można je nazwać?
Po pierwsze w rozdzielniku należało się studentom tylko dwadzieścia cztery bilety tygodniowo, a studentów jest znacznie więcej. Po drugie nie stwierdziłem, aby w repertuarze opery przewidziane były jakieśkolwiek premiery o tematyce rolniczej. Po trzecie jakże słusznie brzmia uzasadnienie dyrektora opery, który przecież jasno wyjaśnił, iż wiąże się to „z koniecznością wykonania przez przedsiębiorstwo zadań planowych w zakresie wpływów”. A więc nasi nieobliczalni, pozostawieni socjalistycznym podstawom studenci występują przeciwko PLANOWI?

Zresztą o co hałas? Studenci szkół aktorskich, którzy powinni oglądać przedstawienia teatralne po kilka razy, aby na nich się uczyć, też tego nie robią, bo im za to każą płacić. Nawet starsi aktorzy, jeśli chcą we własnym teatrze obejrzeć parę razy przedstawienie, muszą płacić pełną cenę biletu. A tu studenci WSR w Poznaniu z nagłą pretensją o głupie dwadzieścia cztery bilety zniżkowe! Zechy potem pan dyrektor poznańskiej opery premii nie dostał, co? Nie ma głupich!

A może są?
Odpowiedz, redaktorze.
Twój korespondent z planety, gdzie nie decydują biurokraci.

opr. Mar. Zak.
Na podstawie korespondencji
J. N., WSR, Poznań

Wydawca: Instytut Prasy „Czy-
telnik”.
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18,
ul. Wileńska 17/1. Telefon red.
nacy — 841 24. Centrala 832-91.
Prenumerata POPROSTU! Przyjmo-
wana jest w kioskach „Ruch” od
1 do 25 każdego miesiąca. Miesięcz-
nie — zł 1,40, kwartalnie — 4,20
rocznie — 16,80.
Administracja: RSW „Prasa”, III
delegatura Warszawa, ul. Marszał-
kowska 8, tel. 807-11.
Drukarnia: RSW „Prasa” War-
sza, Marszałkowska 3/5.
Zam. nr 524. R-6-3425

RYSZARD PODLEWSKI

Tragedia aktywisty

(Po II Zjeździe ZMP)

Kiedyś nie tańczył — nie było wytycznych...
Każdy więc jego postawę zrozumie.
Dziś też nie tańczy — taki los tragiczny,
Choć są wytyczne — on tańczyć nie umie.

RYSZARD KRAŚKO

Epitafium

Tu leży kucharka studenckiej stołówki
Zmarła własnej skosztowawszy zupki.